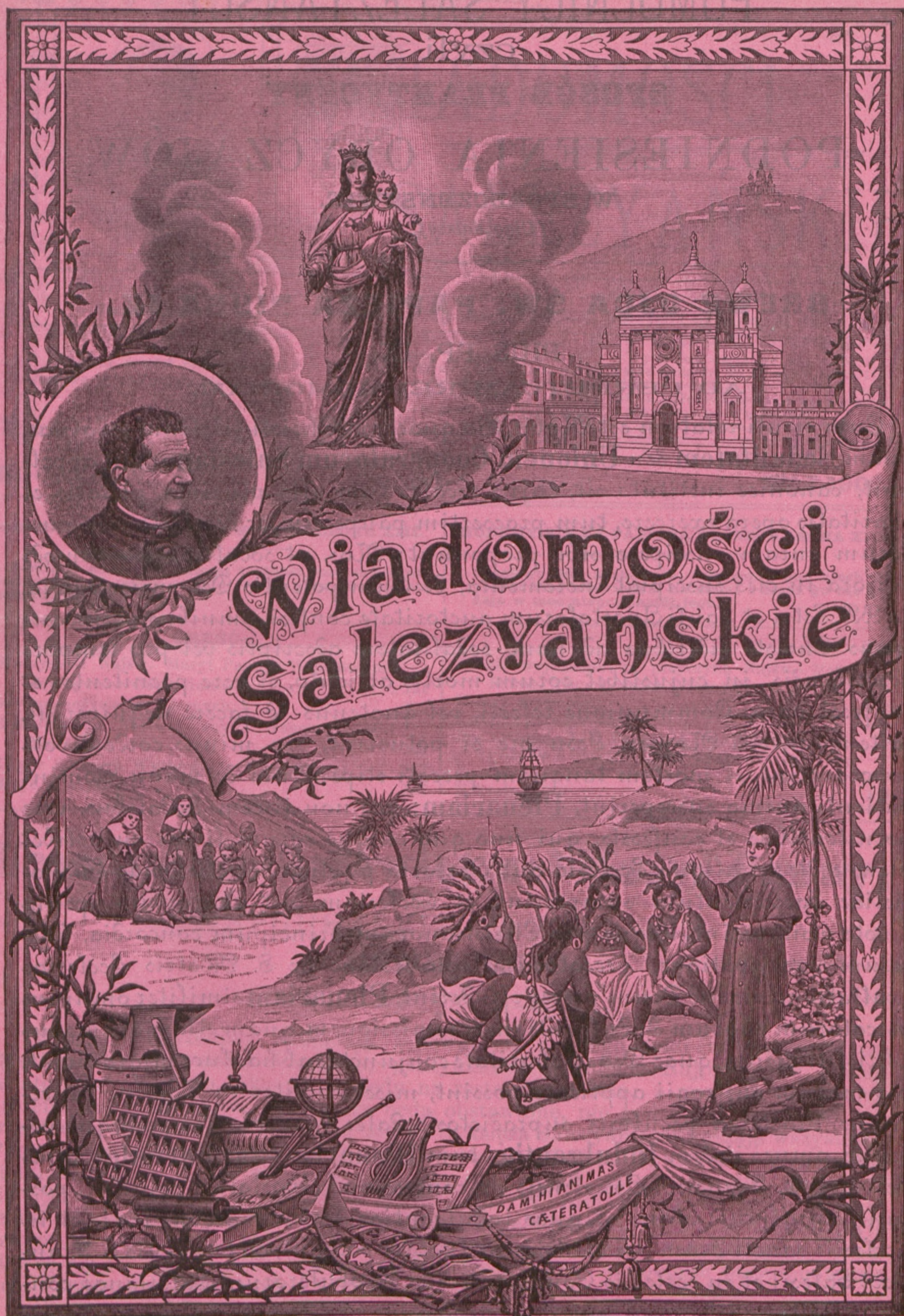
N. 5. Rocznik VI. Maj 1902



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.

POMOCNICY SALEZYAŃSCY
czyli
SPOSÓB PRAKTYCZNY
PODNIESIENIA OBYCZAJÓW
W SPOŁECZEŃSTWIE.
(Ciąg dalszy).

BREWE OJCA ŚW. PAPIEŻA PIUSA IX.

PIUS PP. IX.

AD PERPETUAM REI MEMORIAM.

Cum sicuti relatum est Nobis, Pia quaedam Christi fidelium sodalitas, quam **Sodalitatem** seu **Unionem Cooperatorum Salesianorum** appellant, canonice instituta sit, cujus sodales tum alia plurima pietatis et charitatis opera exercere, tum praesertim pauperum ac derelictorum puerorum curam suscipere sibi proponunt; Nos, ut sodalitas hujusmodi majora in dies suscipiat incrementa, de Omnipotentis Dei misericordia, ac BB. Petri et Pauli Apostolorum auctoritate confisi, omnibus utriusque sexus Christi fidelibus ad hanc sodalitatem adscriptis vel pro tempore adscribendis, in cujuslibet eorum mortis articulo, si vere poenitentes et confessi ac s. Communione refecti, vel quatenus id facere nequiverint, saltem contriti Nomen Jesu ore si potuerint, sin minus corde devote invocaverint, et mortem tanquam peccati stipendium de manu Domini patienti animo susceperint, **Plenariam:** nec non iisdem Sodalibus, vere poenitentibus et confessis, qui uno quo cuique eorum libeat cujuslibet mensis die in aliqua Ecclesia aut Oratorio publico Sanctissimae Eucharistiae Sacramentum sumpserint, et Ecclesiam aut Oratorium ipsum devote visitaverint, ibique pro Christianorum Principum concordia, haeresum exstirpatione, peccatorum conversione ac S. Matris Ecclesiae exaltatione pias ad Deum preces effuderint, **Plenariam** similiter omnium peccatorum suorum Indulgentiam et remissionem, quam etiam animabus Christifidelium, quae Deo in charitate conjunctae ab hac luce migraverint, per modum suffragii applicare possint, misericorditer in Domino concedimus. Praeterea peculiari supradictos sodales benevolentia prosequi volentes, omnes iisdem **Indulgentias** tum **Plenarias** tum **Partiales**, quas Tertiarii S. Francisci Assisiensis ex concessione Apostolica consequi possunt, elargimur; atque ut, quas indulgentias Tertiarii diebus festis et in Ecclesiis sancti Francisci Assisiensis lucrari possunt, diebus festis S. Francisci Salesii et in ecclesiis Congregationis Presbyterorum Salesianae consequi licite ac libere valeant, dummodo quae pro Indulgentiis hujusmodi





WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach: *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie.**— *Adres:* TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dziecię takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT. XVIII, 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież, starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII.)

ROCZNIK VI. Nr. 5. Wychodzą co miesiąc. **MAJ 1902.**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

Uroczystość Najświętszej Maryi Panny,

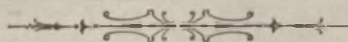
WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

w OŚWIĘCIMIU.

Przezacni Czytelnicy pamiętają zepewne, iż zeszłego roku w święto Matki Boskiej, Wspomożycielki Wiernych, pontyfikował w ruinach Najprzew. ks. biskup Anatol Nowak. Tego roku ze względu na restauracyę ruin, z powodu rusztowań, któremi mury zewnątrz i wewnątrz bedą obstawione, nie godzi się zapraszać tak wysokiego dostojnika kościelnego, ale za to księża Salezyanie zapraszają wszystkich Pomocników na uroczystość swej najmiłościwszej Matki i Opiekunki, Wspomożycielki Wiernych. Jeżeli ważne powody nie staną temu na przeszkodie, obchodzić się będzie to święto w niedzielę, 1go czerwca. W ruinach będzie miał kazanie jeden z księży Salezyanów: chór śpiewaków i kapela zakładu wezmą w nabożeństwie czynny udział. Mając wzgląd na większą liczbę kapłanów salezyańskich, spodziewać się można, że dana będzie przybyszom wszelka sposobność przystępowania do sakramentów Spowiedzi i Komunii św.

W dziennikach znajdą Przezacni Czytelnicy dokładny rozkład nabożeństw.

O WSPOMOŻYCIELCE WIERNYCH.



Chrześcijaństwo jest zdobyczą Chrystusa. Ale jak Marya miała udział we wyzwoleniu wiernego ludu z niewoli szatańskiej, tak nie bez słuszności zwie go i Ona ludem swoim i za takowy go poczytuje. I nie tylko go poczytuje za lud swój, ale i pojedynczym jego jednostkom niesie pomoc i w wspólnych uciskach chrześcijaństwa Ona łamie potęgę pogańskiego oręża, Ona uśmierza herezye, Ona usuwa morowe zarazy.

Na złotym tronie siedzi rozwalony cesarz rzymski. Jego twarz zachmurzona: czoło poorane bróżdami frasunku. Bo jak słońce zalewa świat jasnością, tak on zalał Rzym krwią chrześcijańską, a pomimo to w głowę oto zachodzi, ponieważ chrześcijaństwo męczarni się nie lęka, nie umiera, ale ciągle się rozrasta. — Jak żywo! chrześcijanie gardzą męką i śmierć ponoszą za wiarę, bo oni mają niebieskie Wspomożenie, które umacnia ich wolę, upaja ich serce szczęściem — a tem Wspomożeniem Wiernych jest Marya.

Książę kłamstwa sieje na polu kościoła kąkol rozterki, fałszu, herezyi, aby rosnąc między pszenicą, zadusił dobre zboże. Lecz Marya wspomaga wiernych, wykrywa i wydaje spiski piekła. To napomyka św. Grzegorzowi z Neocezaryi zbawienną formułę wiary, to pobudza św. Jana Damasceńskiego da zbijaniu Ikonoklastów, to uczy św. Dominika różańca i stłumia herezyę Albigenzów, to św. Ignacemu z Lojoli podaje myśl Towarzystwa Jezusowego, na pogromienie błędów Lutra i Kalwina.

Szerokie zagony Maurów zapuszczają się do Hiszpanii, unosząc na brzegi Afryki tysiące niewolników: Wspomożycielka Wiernych powołuje do życia zakon św. Jana z Matty, który wykupuje wiernych z niewoli, wraca ich rodzinom i Kościołowi. Turcy podkopują potęgę chrześcijaństwa, a Marya kruszy ich moc wprzód pod Lepanto, następnie pod Wiedniem. Pycha Napoleona więzi Piusa VII w Savonie: Wspomożycielka Wiernych go broni i oswobadza.

Kiedy za panowania króla Jan Kazimierza nieprzyjaciele najechali z wszech stron i zawładnęli ojczyznę naszą i już wtenczas o rozbiorze jej się układali, cudowna obrona Częstochowy dowiodła nam jak na dłoni, że Marya jest Wspomożycielką Wiernych.

Gdy bowiem niemal wszystkie już miasta i zamki, a nawet sam Kraków, wpadły w ręce luteranów, jeden tylko warowny klasztor na Jasnej Górze wzbraniał się przyjąć załogę szwedzką. Ale innowiercy nie zapomnieli o Częstochowie i chciwi na wielkie skarby, jakie tu pobożni przez półtrzecia wieku w ofierze poskładali, aby je złupić, wyprawili jenerała Müllera w 10, jak inni piszą, w 17 tysięcy wojska z armatami. Luteranie zaczęli księżom Paulinom przekładać, aby się poddali królowi szwedzkiemu, bo już cała Polska jest za nim. Ale ks. Kordecki, przeor klasztoru, ufny w pomoc Wspomożycielki Wiernych, postanowił raczej umrzeć w obronie przybytku Matki Boskiej, aniżeli poddać się i być świadkiem, jak szwed święte miejsce zbezcześci. 70 za-

konników, 160 żołnierzy i kilku szlachty z rodzinami i domownikami z okolicy — razem do 400 osób — stanowiło cały zastęp obrońców. Na czele tej garstki Kordecki z krzyżem w ręku zagrzewał broniących się do wytrwania. Sam był



Wspomożycielka Wiernych.

osobiście wszędzie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo: nad wszystkiem czuwał. Kilkakrotnie, pod siłą szturmu nieprzyjaciela, oblężeni tracili wszelką nadzieję; on jeden nieugięty przykładem swoim nowe budził męstwo.

Gdy z wałów twierdzy rozlegał się huk dział, muzyka umieszczona na wieży kościoła przygrywała pieśni pobożne na cześć Maryi, a dźwięki jej nowej wytrwałości dodawały. W dzień Niepokalanego Poczęcia P. Maryi odprawiali obrońcy Częstochowy, jak zwykle, uroczyste nabożeństwo. Gniewało to Szwedów i przypuścili taki szturm, że kościół i wszystkie budynki zdawały się gorzeć od ognia, ale kule szwedkie przelatywały nad głowami modlących się, lub odbijały się od murów i wracały na luteranów. Niejeden widział, jak Najświętsza Panna płaszczem swoim z wysokości osłaniała Jasną Górę. Tak wśród modłów i walki odpierali oblężeni wszelkie szturmy innowierców, a gdy w końcu i ostatni, najstraszniejszy, w sam dzień Bożego Narodzenia, oblężeni wytrzymali zwycięsko, odstąpił Müller (25 grudnia) po 40 dniach oblężenia od Częstochowy, pozostawiwszy mnóstwo trupów. Przy ostatnim szturmie pod wieczór jedno ciężkie działo szwedzkie, które najbardziej szkodziło murom klasztoru, od własnej kuli, która się od murów odbiła, pękło i położyło koniec szturmowaniu. — Cztery razy kusili się jeszcze potem luteranie o zdobycie Częstochowy, ale zawsze bezskutecznie.

Teraz posłyszawszy o cudzie częstochowskim, włościanie i mieszczanie pod wodzą Jerzego Lubomirskiego chwycili za broń na podgórzu karpackiem. Jednocześnie szlachta, pobudzona mężnym oporem Częstochowy, wzięła się do walki i zawiązała w Tyszowcach 29 grudnia 1655 r. konfederacyę w obronie króla, ojczyzny i wiary. Odtąd wszyscy odstępują szwedzkiego tyrana a wracają do prawego króla, któremu się sprzeniewierzyli. W całym kraju powstają oddziały zbrojne; rozpoczyna się uparta, podjazdowa wojna. Wezwany do powrotu Jan

Kazimierz przybył w pierwszych dniach 1656 r. przez Śląsk i Węgry do Lwowa, z wielką radością witany *).

Wtedy król postanowił obrać Najśw. Pannę za Krolowę Polską i oddać ojczyznę w szczególniejszą jej opiekę przy cudownym obrazie N. P. Łaskawej w katedrze lwowskiej. Jakóż dnia 1 kwietnia 1656 r. udał się do kaplicy z senatorami. W przytomności wszystkich stanów, bractw kościelnych i całej ludności kazał umieścić obraz na wielkim ołtarzu. Wotywę odśpiewał Nuncyusz apostolski Piotr Wido, biskup laudeński.

Po nabożeństwie i przyjęciu Komunii św. przystąpił król z senatorami do wielkiego ołtarza i, przyklęknąwszy na pierwszym stopniu, z wielką pokorą i nabożeństwem odczytał ślub na karcie spisany, który zaczynał się od tych słów:

„Wielka Boga-człowieka Matko, Panno Najświętsza! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Syna Twego, króla królów i Pana mego, i z Twego miłosierdzia król, upadłszy do stóp Twoich najświętszych, Ciebie za opiekunkę moją i *za królowę królestwa mojego obieram*. I siebie i królestwo Polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflandzkie i czernichowskie, wojska obydwu narodów i lud cały Twojej osobliwej opiece i obronie polecam, Twojej pomocy i litości w tym nieszczęśliwym i przykrym królestwa mojego stanie, *przeciwko nieprzyjaciołom św. Rzymskiego Kościoła pokornie błagam*.“

Od owego pamiętnego dnia datuje się cześć, którą naród nasz oddaje Najśw. Pannie, jako Królowej Polski, a i dziś dnia każda dobra matka Polka, ucząc swe dzieci pacierza w ojczystej mowie, dołącza doń tę krótką a wspaniała inwokacyę: „*Królowo Korony Polskiej, módl się za nami.*“ *)

W cudzie częstochowskim widzimy jasno, że Marya broni miejsce święte i lud nasz wierny przed nawalną i uzbrojoną sektą tak, jak broniła Rzym przed Turkami, Wiedeń przed potęgą muzułmańską. Pod Lepanto i Wiedniem mierzą się szczupłe siły chrześcijańskie z nieprzeliczonymi zastępami niewiernych — pod Częstochową jeden mąż idzie w zapasy z całymi pułkami. Pod Lepanto i pod Wiedniem harda czerń turecka dufa w swoje siły, w okrucieństwo swego serca, w nienasyconość i nielitość swego miecza — pod Jasną Górą nadęta i chciwa armia luterańska wierzy ślepo w swą przebiegłą chytrość, w swe prochy, kolubryny, w dwudziestosześcio-funtowe pociski. Pod Lepanto flota katolicka wzywa pomocy Panny Maryi, pod Wiedniem rycerstwo Jana III śpiewa hymn bojowy: *Bogarodzico* — na obronnych murach Częstochowy brzmi antyfona: *Pod twoją obronę*. Pod Lepanto Wspomożycielka Wiernych zatapia w krwawych odmętach zatoki morską przewagę turecką, pod Wiedniem rozbija w puch piechotę i jazdę Kara — Mustafy i łamie na zawsze potęgę muzułmanów— pod Jasną Górą taż Wspomożycielka Wiernych krzyżuje nikczemne plany starych, doświadczonych wojowników szwedzkich, okrywa ich hańbą i zmusza do sromotnego odjazdu z pód murów tej drobnej twierdzy, którą oni odważyli się lekkomyślnie i bezczelnie nazwać kurnikiem.

To tylko jedna karta z naszych dziejów, która nam wykazuje, jak na naszej ziemi polskiej Marya była Wspomożycielką Wiernych. Ale tych kart jest więcej,

*) Dzieje Polski, przez Maryana z nad Dniepru, str. 198-199.

*) Według dekretu Ojca św. Leona XIII z 10 kwietnia 1890, święto N. P. Maryi, Królowej Korony Polskiej, przypada w pierwszą niedzielę maja.

a chociaż mało są znane i zasute niemal pyłem zapomnienia, to pozostaną one jednak zapisane po wieczne czasy w księdze naszej przeszłości, na chlubę naszych ojców, na chwałę imienia polskiego, a głównie na cześć Wspomożycielki Wiernych.

Czasy się zmieniają i różnym podlegają kolejom. Ciężka niedola dotknęła naszą ojczyznę; Kościół św. stał się celem pocisków różnych sekt; każdy z nas przechodzić musi od radości do smutku, od szczęścia i zadowolenia do łez i zgryźliwego frasunku. Lecz kiedy w taki sposób ważymy się i chwiejemy na falach zmienności ziemskiej, oczy nasze zwracają się mimowolnie ku niebu, bo serce czuje, że tam należy szukać ratunku, bo tam Wspomożycielka Wiernych i Królowa Polski. Idźmy za tym popędem serca, uczcijmy Najśw. Pannę, poruczmy Jej potrzeby naszych rodzin i ognisk domowych, polećmy jej losy cierpiącej ojczyzny i potrzeby całego chrześcijaństwa.

Ale nie przestajmy na tem. W Oświęcimiu istnieje pamiątka z czasów szwedzkiego najazdu — pamiątka ciemna, upośledzona, bolesna. Wódz szwedzki Wirtz stukł i zdobył zamek oświęcimski (30 października 1655): jego luterańskie żołnierstwo paliło, gruchotało i pustoszyło miasto, a kościoły obdzierało z ozdób i klejnotów. Wtedy w dominikańskim kościele św. Krzyża runęło sklepienie i już od owego czasu świątynia pańska przybierała z każdym dniem wyraźniejszy wygląd rozwalin, aż wreszcie tego się doczekała, że słota, dekrety kasacyjne i chciwość ludzka zamieniły ją na formalne ruiny.

Dziś pracuje się koło tych resztek pamiętnych, zacierają się ślady gruzu, odnawiają się mury, wznosi się nowy kościół, i to kościół na cześć tej Panny, która broniła katolicyzmu pod Lepanto, pod Wiedniem, pod Częstochową — na cześć Wspomożycielki Wiernych. Przyczyńmy się do tego dzieła, zachęćmy do złożenie tam swej cegiełki znajomych i przyjaciół.

Wspomożycielka Wiernych nie przestaje okazywać swej władzy i rozdawać łask tym, którzy nie zapominają o jej kościołach. I to do tego stopnia, że gdyby nie dążyło się do wznoszenia jej świątyni pod wpływem wiary i pobożności, możnaby być do tego popchniętym przez wzgląd na swój osobisty interes. Jedni otrzymują pomyślność materyalną, inni łaski wyższego rodzaju; albo ukochana osoba bywa wyrwana z objęć śmierci, albo kaleka odzyskuje zdrowie; czasami uzdrowienia są nagłe, ale najwięcej następują w chwili odleglejszej i choroba zdaje się mieć przebieg naturalny. I czy uwierzy kto temu? Kościół Wspomożycielki Wiernych w Turynie został ukończony bez kwesty; środki nadpływały zawsze, i to w porę. Ogólny wydatek przenosił milion franków; otóż rejestr prowadzony z dokładnścią dowodzi, że z tej ogromnej kwoty ośmset pięćdziesiąt tysięcy franków powstało z ofiar złożonych przez osoby, które otrzymały szczególne łaski i który w ten sposób okazywały swą wdzięczność. Można przeto powiedzieć, że każdy kamień tego gmachu jest znakiem dobroci i mocy Wspomożycielki Wiernych.

Nie ma wątpliwości co do tego, że i na ziemi polskiej Wspomożycielka rozmnoży swe łaski mianowicie w czasie budowy nowego kościoła, a liczne wota zawieszone na ścianach przyszłej świątyni będą ich niezbitem i długotrwałem świadectwem.



NOWA MODLITWA DO NAJŚW. PANNY, WPOMOŻYCIELKI WIERNYCH.



Doznajemy niewymownej radości z tego powodu, że w tym pięknym miesiącu możemy obdarzyć Przezacnych Czytelników modlitwą do naszej najukochańszej Matki Wspomożycielki, którą to modlitwę Ojciec św. Leon XIII, reskryptem z dnia 10 marca 1900, wzbogacił odpustem 300 dni. Tego odpustu dostąpić można za każdym razem, ilekroć się niżej podaną modlitwę odmówi *corde saltem contrito*, t. j. przynajmniej ze skruszonem sercem.

W książkach nabożnych roi się od modlitw do Matki Boskiej, ale niniejsza jest modlitwą rdzennie salezyańską, bo ułożoną z umysłu dla członków i pomocników naszego Zgromadzenia; jest modlitwą, w której odzwierciadla się całkowicie duch naszego działania; modlitwą, którą codziennie odnawiają synowie księdza Bosko i Siostry Wspomożycielki Wiernych. Imię salezyańskie, wytrysnąwszy z Turynu, szło od narodu do narodu, od miasta do miasta, od wioski do wioski, aż do dalekich brzegów Ziemi Ognistej i do dziewiczych lasów brazylijskich i ekwatorskich. Ale gdziekolwiek błysnął herb księdza Bosko, gdzie tylko zabrzmiało salezyańskie hasło, tam wznosił się ołtarz Wspomożycielki Wiernych, a przy tym ołtarzu Salezyanin odmawiał i odmawia swą modlitwę do Wspomożenia Wiernych. Temu nieustannemu pieniu wtoruje równobrzmiąca pieśń, nucona ustami tysięcy pomocników i wywołująca ową powódź cudów i łask, których bardzo małą część miesięcznie w naszem czasopiśmie ogłaszamy.

MODLITWA DO NAJŚW. WSPOMOŻYCIELKI WIERNYCH.

O najświętsza i niepokalana Panno Maryo, Matko nasza najdobrotliwsza i potężna Wspomożycielko Chrześcijan! Twojej słodkiej miłości i świętej Twojej służbie zupełnie się oddajemy. Poświęcamy Ci nasz umysł z jego myślami, nasze serce z jego uczuciami, ciało z jego zmysłami i ze wszystkiemi władzami, obiecując Ci, iż zawsze będziemy rozszerzali chwałę Bożą i pracowali na zbawienie dusz.

Ty przeto, o Panno niezrównana, Któraś zawsze była Wspomożycielką ludu chrześcijańskiego, racz, błagamy Cię, okazywać się nią i nadal, osobliwie zaś w tych czasach. Upokarzaj wrogów naszej wiary świętej i krzyżuj ich niecne zamiary. Oświecaj i wzmacniaj biskupów i kapłanów i spraw, by związek jedności i posłuszeństwa łączył ich zawsze z Papieżem, nieomylnym Nauczycielem. Zachowuj od niedowiarstwa i zepsucia niebaczną młodzież; strzeż świętych powołań i rozmnażaj liczbę kapłanów, by przez ich działalność królestwo Jezusa Chrystusa wśród nas się utrzymało i rozszerzyło swe granice aż do ostatnich krańców ziemi.

Prosimy Cię jeszcze, o Matuchno najsłodsza! byś zawsze miała Twe miłosierne oczy zwrocone na młodzież nieostróżną a otoczoną rozlicznemi niebezpieczeństwami, na nieszczęśliwych grzeszników i na konających. O Maryo! bądź wszystkim słodką Nadzieją, Matka miłosierdzia i Bramą niebieską.

Lecz i za siebie samych kornie się błagamy, o można Bogarodzico! Naucz nas naśladować Twe cnoty, zwłaszcza czystość anielską, głęboką pokorę i miłość gorejącą, byśmy, o ile to jest w naszej mocy, naszą postawą, naszemi słowami, naszym przykładem, przedstawiali godnie na świecie Pana Jezusa, Syna Twego, byśmy szerzyli Twoją chwałę i nabożeństwo i byśmy w ten sposób wiele dusz do wiecznej szczęśliwości wprowadzić mogli.

Spraw nadto, o Maryo Wspomożycielko Wiernych, abyśmy wszyscy chronili się pod Twoim płaszczem macierzyńskim. Wyproś nam tę łaskę, abyśmy w pokusach zaraz Cię wzywali z ufnością; spraw wreszcie, by myśl o Tobie tak dobrotliwej, tak łaskawej, tak słodkiej, i wspomnienie miłości, którą żywisz ku Swoim czcicielom, dodały nam takiej otuchy, izbyśmy w życiu i w godzinę śmierci mogli stawić czoło nieprzyjaciołom naszej duszy i być raz policzeni do Twego dworu w pięknem Królestwie Niebieskiem. Amen.

Za każde odmówienie tej modlitwy przynajmniej z sercem skruszonem, zyskać można odpust 300 dni.
(Leon XIII, reskryptem z 10 marca 1900).

Ksiądz Bosko, a Wychowanie.

(*Ciąg dalszy*).

IV.

Wybitną cechą pobożności w domach księdza Bosko jest wesołość.

Ks. Bosko wymaga, żeby dzieci jego unikały grzechu, żyły w łasce Bożej i duszę zbawiły. W tym celu usposabia ich do modlitwy codziennej a częstej, do nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny, do uczęszczania do sakramentów świętych, do praktyki cnót. Nie przestając na tem, chce, żeby dzieci jego były pobożne w całem słowa znaczeniu, t. j. żeby dążyły do doskonałości ewangelicznej i zmierzały do świątobliwości. Dla tego w domach salezyańskich niektórzy wychowańcy, młodzi jeszcze wiekiem, przystępują codziennie do komunii św. Dlatego w salezyańskich zakładach komunia cotygodniowa jest w wielkiem poszanowaniu. Dlatego tak młodzież mieszkająca w internatach jak i uczniowie chodzący do salezyańskich szkół prowadzą literalnie anielskie życie, postępują i mowią jako święci.

Oto co ks. Bosko opowiada o jednym z nich, o Michale Magone, który wstąpił do Oratoryum w Turynie w trzynastym roku, a umarł w ośmnastym roku życia:

„Zabrałem go wraz z innymi na wakacye do Becchi. Otóż pewnego dnia, podczas zabawy w lesie, jedni zbierali grzyby, inni trzęśli kasztany, lub nagromadzali stosy liści — tylko Magone gdzieś niespostrzeżenie przepadł. Wszak jeden z towarzyszów dopatrzył tego i obawiając się jakiej przygody, poszedł za nim. Michał mniemał, że żadne ludzkie oko go nie śledzi, wrócił do domu i, o nic nie pytając, poszedł prosto do kaplicy. Mający go z dala na oku towarzysz zastał go na klęczkach, pogrążonego w skupieniu i modlitwie, u stóp Najświętszego Sakramentu. Zapytany potem dla czego odstąpił bawiących się towarzyszy, odpowiedział: „Lękam się popaść na nowo w grzech, więc poszedłem błagać Pana w Najświętszym Sakramencie utajonego o siłę i wytrwanie".

„Innym razem podczas tychże wakacyi usłyszałem, wśród ogólnej nocnej ciszy, rzewny płacz. Staję cichutenko i widzę w oknie domu chłopca zanoszącego się od łez. Zbliżam się i pytam: „Magone, czyś ty chory?" Michałek przypuszczał, że go nikt nie słyszy, zmieszał się więc, zakłopotał i nie zdobywał się na odpowiedź. Dopiero na powtórne moje zapytanie tak się odezwał:

„Płaczę, podziwiając księżyc, który od tylu wieków zawsze najakuratniej ukazuje się dla rozproszenia ciemności, i nigdy nie wyłamuje się z pod rozkazów Stwórcy; a ja, rozumem od Boga obdarzony, tylekroć dopuściłem się nieposłuszeństwa. W tak młodym wieku w tysiączne już sposoby Boga obraziłem".

„I to mówiąc nanowo się łzami zalał. Pocieszyłem go kilku słowy, dodałem odwagi i otuchy, poczem znowu zasnął. Zdarzenie to wywarło na moim duchu głębokie wrażenie: podziwiałem w młodzieńcu ledwo czternastoletnim tak wzniosłe myśli i taką delikatność sumienia".

Nie mniej budującą jak życie była śmierć Michała Magone. Zachorował i już stał na progu wieczności.

„Nagle przywołał mię, opowiada dalej ks. Bosko.

— Ojcze, rzekł mi, wybiła ostatnia godzina; dopomóż mi!

— Bądź spokojny, odpowiedziałem. Nie opuszczę Cię, dopoki nie będziesz z Jezusem w raju. Czyżbyś nie chciał przed wyjściem z tego świata pożegnać raz jeszcze matki?

— Nie, mój Ojcze, nie chciałbym jej sprawić boleści.

— Czy nie masz jakiego dla mnie polecenia?

— O tak, proszę rzec matce, żeby mi przebaczyła wszyskie zmartwienia, jakich dla mnie w życiu doznała: bardzo tego żałuję. Proszę jej powiedzieć, że ją wielce kocham, żeby się uzbroiła w męstwo... pójdę wyczekiwać jej w niebie".

Słowa te rozrzewniły wszystkich obecnych. Ja sam musiałem powstrzymywać łzy, żeby całkiem oddać się umierającemu w ostatnich jego chwilach. Od czasu do czasu zadawałem mu różne pytania:

— Cóż mam powiedzieć od ciebie towarzyszom twoim?

— By każdą spowiedź dobrze odprawiali.

— Cóż ci w tej chwili największą sprawia przyjemność?

— W tej chwili najwięcej mnie pociesza ta odrobina życia, jaką czci Najświętszej Panny poświęciłem. O Maryo, Maryo, jakże słodko umierać sługą twoim.“

***

Dominik Sawio, to drugi anioł, którego woń cnoty rozeszła się w temże turyńskiem Oratoryum. Dla przekonania czytelnika do jakiego stopnia cnoty doszedł pod kierunkiem ks. Bosko, dość będzie przytoczyć następującą rozmowę z tylko co przybyłym do Oratoryum towarzyszem Kamilem Gario:

— „Cóż, nowy towarzyszu, nie bawisz się?

— Nie bawię się, ale gry wasze tak mię zajmują, jak gdybym w nich sam miał udział.

— Ile masz lat?

— Piętnaście skończonych.

— Coś mi się smutnym wydajesz. Czyś ty nie chory?

— Tylko co wstałem z choroby, która o mało nie przyprawiła mię o śmierć, i nie niezupełnie jestem zdrów.

— Chciałbyś przyjść do sił?

— Niekoniecznie; wolę zdać się całkiem na wolę Boga!

Słowa te uradowały kochanego Dominika, który tak dalej mówił:

— Kto się przedewszystkiem do woli Bożej stosuje, ten jest na drodze do świątobliwości. Chcesz więc zostać świętym?

— To właśnie najgorętsze życzenie moje.

— Tem lepiej: powiększy się liczba moich przyjaciół. Będziesz więc od tej chwili wspólnikiem naszych dobrych uczynków i pobożnych praktyk.

— Jak najchętniej. Cóż więc trzeba czynić?

— Krótko ci to wyłuszczę. Przedewszystkiem unikamy jak najstaranniej grzechu, jako okrutnego wroga, bo grzech pozbawia łaski Boga i pokoju serca. Następnie usiłujemy wykonywać jak najsumienniej obawiązki swoje i zawsze być zadowolonymi. Chcąc zrozumieć ducha naszego stowarzyszenia, powinieneś się przeniknąć zasadą: *Servite Domino in laetitia*, służcie Panu Bogu z weselem“.

Dominik Savio, wkrótce po ogłoszeniu dogmatu Niepokalanego Poczęcia założył w Oratoryum stowarzyszenie tejże nazwy. Umarł w opinii świątobliwości a pośrednictwu jego przypisywano łaski nadzwyczajne. Ale ze słów, jakiemi się do przyjaciela swojego Kamila Gario odzywa, widzimy, że wysoka jego cnota nie wyklucza bynajmniej wesołości; był bowiem prawdziwym synem i uczniem ks. Bosko.

***

Że nauka i duch ks. Bosko były nacechowane wesołością, nikt ze znających go osobiście zaprzeczyc temu nie może.

Miłem usposobienem swojem i szczerą wesołością przyciągał dzieci, zapalał młodzież i koło siebie skupiał, by wszystkich Zbawicielowi pozyskać. Pierwsi jego uczniowie jeszcze żyją i zaświadczyć to mogą. Rozmawiając z nimi choćby tylko na godzinkę, dowiedzieć się można najróżnorodniejszych miłych a dosadnych rysów znakomitego ich mistrza.

Ciekawa to zaiste rzecz. Bóg, zdawaćby się mogło, zamierzał zaprawić od dzieciństwa apostoła swojego do posłannictwa bawienia młodzieży, by ją tym sposobem do siebie przyciągnąć i uświęcić.

Mały Jaś Bosko miał zaledwie lat dziesięć, gdy chodząc z matką na jarmarki w okolicy bywające, lubił przypatrywać się akrobatom, siłaczom i kuglarzom. Starał się przeniknąć tajemnicę ich sztuki, a potem naśladował ich, i to z takiem powodzeniem, że w jego jedenastym i dwunastym roku życia schadzano się z największem upodobaniem z wioski na jego przedstawienia. Skakał na linie, wyprawiał różne sztuki gimnastyczne i karkołomne, a na stole umyślnie w tym celu przygotowanym przedstawiał figle kuglarskie.

Ponieważ przedstawienie swoje dawał w niedzielę po południu. wymagał, by widzowie najpierw odmówili różaniec, poczem dziecinnemi usty i z zadziwiającą pamięcią prawił kazanie, jakie zrana podczas mszy św. był słyszał.

Skoro wyrósł na młodziana rozpędzał najsławniejszych szarlatanów, zawstydzał ich, okrywał konfuzyą i zmuszał do opuszczenia miejsca, by nie przeszkadzali nabożeństwom i święceniu niedzieli. Przy tem Jan Bosko był pobożny jak anioł, poważny jak pustelnik, gorliwy jak apostoł. Tego rodzaju była

pobożność ks. Bosko, takiej też pragnął dla uczni swoich.

Co za urok miały przechadzi z ks. Bosko, czyto kiedy rzemieślników swego schroniska prowadził na Mszę św. w pobliże Turynu, poczem całodzienna następowała majówka — czyto później podczas wakacyi, kiedy z całym pensyonatem, z muzyką na czele, chodził od mieściny do mieściny, dawał przedstawienia i tym sposobem uświetniał uroczystości religijne. Owe niezatarte w pamięci dni zaczynały się rano w kościele Mszą św. i komunią, a kończyły się wśród wesołości hałaśliwych zabaw i gier wszelkiego rodzaju. Cóż powiedzieć nakoniec o wspaniałem zakończeniu wakacyi w Becchi, uświęconem nowenną i świętem Matki Boskiej Różańcowej? W tej uroczystości uczestniczyli corocznie najgórliwsi uczniowie Oratoryum, którzy większą część wolnego czasu przepędzali nie w rodzinnej wiosce ale z ukochanym mistrzem swoim tak dobrym, tak miłym, tak dobrze pojmującym, jaką być powinna pobożność dzieci i młodzieży. Ks. Bosko na tej drodze wyprzedził nieodżałowanej pamięci ks. biskupa de Ségur, również apostoła młodzieży, który także nigdy nie odłączał wesołości od najściślejszej i najszczerszej pobożności.



Misyonarz X. Boido, w powrocie z Misyi.

Dla tego łatwo zrozumieć to, co ks. Bosko w ustawach swoich wypowiada: „Co się tyczy biegania, skakania i hałasowania w czasie rekreacyi, to pozostawia się wychowankom wszelką pod tym względem swobodę. Oprócz tego gimnastyka, muzyka, deklamacya, przedstawienia teatralne i wspólne przechadzki i wycieczki są najdzielniejszymi środkami do utrzymania karności. Należy tylko baczyć, aby przedmiot zabawy, jako taki, a dalej: osoby, które w niej biorą udział i rozmowy, jakie podczas niej się prowadzą, nie dały powodu do jakiego zgorszenia. « Czyńcie co chcecie » mawiał wielki przyjaciel młodzieży, św. Filip Nereusz, « byłebyście tylko nie popełnili żadnego grzechu.»“

Stąd też wypływają znaczące słowa umieszczone przez ks. Bosko w przedmowie przecudnej książki modlitewnej dla zakładów salezyańskich: *Młodzieniec Zaopatrzony:* „Że wszystkich podstępów, jakimi się szatan posługuje dla sprowadzenia młodzieży z drogi cnoty, dwa są główne i bardzo pospolite. Najpierw przekłada im, że służba Boża skazuje człowieka na życie smutne, pozbawione wszelkiej radości i wesela. Nie masz nad ten większego fałszu, kochani moi przyjaciele, bo oto podaję wam sposób życia chrześcijańskiego, daleki od tłumienia wesołości — owszem wskazuję wam źródło prawdziwej wesołości, abyście stosownie do słów Króla Proroka służyli Bogu z świętem weselem: *Servite Domino in laetitia.* Ps. XCIX. Książeczka, którą wam ofiaruję, nie ma innego celu, jak właśnie nauczyć was służyć Bogu z wesołością serca.“

Ks. Bosko zatem wymaga, żeby dziatwa jego służyła Bogu z całem męstwem, na jakie się zdobyć może — ale także z świętem weselem ducha: nie masz u niego wesołości bez pobożności — ni pobożności bez wesołości. *Servite Domino in laetitia.* To jego hasło!

(Ciąg dalszy nastąpi).



MISYE SALEZYAŃSKIE

Historya Misyi Salezyańskiej w Ziemi Ognistej.

(*Przez X. Beauvoir Misyonarza Salezyańskiego.*)

(Ciąg dalszy).

Pierwsze wylądowanie. — Parowiec Amedeo cofa się przed ujściem rzeki RioGrande. — Statek „Maria Ausiliatrice" przybija szczęśliwie do lądu.

Popakowawszy wszystko na parowiec, ruszyliśmy z Puntarenas w pierwszych dniach czerwca. Przepłynęliśny cieśninę Magellana i po trzydniowej żegludze po Atlantyku zatrzymaliśmy się przy ujściu rzeki Rio Grande (wybrzeże Ziemi Ognistej), gdzie statek zarzucił kotwicę.

Wsiadłem wtedy w towarzystwie p. Marias do łodzi, z sondą i planem otrzymanym od komendanta p. Edwirda O'connor. Wymierzyłem we wszystkich punktach szerokość i głębokość ujścia i przekonałem się, że miary planu były jak najdokładniejsze. Nieco później przyczypił się do nas kapitan okrętowy, ale na to tylko, by wmówić we mnie, że statku do rzeki pchnąć nie można. Widocznie otrzymał od właściciela statku p. Józefa Meńendeza jakieś tajne w tym względzie rozporządzenia, i chciał się do nich na gwałt zastosować, bo tejże nocy przedstawił mi pismo, w którem wymagał odemnie, żebym napisał i potwierdził przy świadkach, że on dla ważnych i naglących przyczyn zmuszony został opuścić ujście rzeki. Nalegałem i perswadowałem, że przy odrobince ostrożności może statek swobodnie rzeką jechać. Stanowczo zaś odmówiłem żądanego potwierdzenia. Lecz nic nie wskórałem: byłoto jakby rzucać groch o ścianę. Jeszcze się dobrze nie rozedniało, aliści kapitan zawrócił napowrót statek ku północy i odpłynął, zostawiając nas z rozgoryczonem sercem w zatoce św. Sebastyana, z dwudziestu sztukami bydła, gdyż reszta była wyginęła. Po dwudziestodniowej żegludze zawinął do Puntarenas i otrzymał za nieszczęśliwą i niechlubną podróż sutą zapłatę, bo aż dwadzieściadwa funtów sterlingów i sześć szelingów za dzień.

Oczekując powrotu księdza, którego byłem wysłał do Puntarenas z prośbą o żaglowy parowiec, by ponownie pokusić się o przeprawę przez rzekę przesiadywałem w tej części zatoki św. Sebastyana, od której rozpoczyna się przylądek tegoż nazwiska.

Po czterech miesiącach długich i nieznośnych przekonałem się, że daremne były nasze nadzieje i oczekiwania. Tymczasem położenie moje było przykre, piekące. Zostawionego nam w niewielkiej ilości pożywienia znacznie ubywało, a towarzysze moi (było ich dziesięciu), zatrwożeni blizkością słotnej pory, poczęli się odrażać. Po długich namysłach postanowiłem pewnego dnia puścić się sam przez wyspę i dotrzeć w jaki sposób do cieśniny Magellana, a potem do Puntarenas, i dojść ostatecznie do końca tej niepomyślnej wyprawy, Udały się to nader szczęśliwie, gdyż po czterodzienniej uciążliwej podróży, odbytej częścią konno, częścią czół-

nem, przybyłem mizerny i chory na miejsce. Tu dopiero przekonałem się o słuszności i uzasadnienin moich podejrzeń. Nikt mi statku wynająć nie chciał; umysły były podburzone; wszystkim wbiło się w głowę, że ujście Rio-Grande jest nie do przebycia. Przekładałem im, iż sam osobiście miejsce to zbadałem; przedstawiałem im plany komendanta Edwarda O'connor: mówiłem, że naja kuratniejszymi wymiarami stwierdziłem ich dokładność — darmo, nie chcieli mi dać ucha. Włóczyłem się od właściciela do właściciela, prosiłem, błagałem, a w końcu odchodziłem z niczem.

Znękany tylu przeciwnościami i tak gorzkiem niepowodzeniem, pytałem się: „Mielibyśmy więc opuścić tę misyę? Miałożby to być możebnem?... Przenigdy!“

Dyabeł, nieprzejednany wróg rodzaju ludzkiego, przewidując jak wielkie korzyści miała fuegińska ludność w niedalekim czasie z tej misyi odnieść, i jak dotkliwe ciosy mieli mu wkrótce w tej okolcy synowie pastuszka z Castelnuovo zadać, spuścił z łańcucha wszystkie rozhukane i rozwścieklone jędze, by wszelkimi sposobami stanąć temu na przeszkodzie. Zacięta walka, jaką nam już od samego początku wypowiedział, i jego nieustanne a coraz sroższe ataki świadczyły o ważnosci tej misyi. Zrozumiawszy taki stan rzeczy, podwoiliśmy nasze wysilki i zabiegi. Uporczywa bitwa z piekłem przekonywała nas, że czart wkrótce naszej natarczywości ulegnie, że przedsięwzięcia nasze są zbożne a przywiedzione do skutku przyniosą obfite owoce.

Jak żywo! Chociażby się fundamenta ziemi zachwiały a huragany i burze powietrzne zatrzęsły osią kuli ziemskiej; chociażby rozhukane i nadęte fale morskie, pieniąc się i szamocąc na wszystkie strony, chciały pochłonąć ląd i wznieść aż pod niebiosa nasz wątły statek; chociażby rozszalałe morze, otwierając aż do czeluści bezdennych swe łono, groziło pochłonąć wszystko w strasznych swych przestworach — misyonarz salezyański, ufny w potęgę Boga i Wspomożycielki Wiernych, nie odstąpi nigdy od swych świętych zamiarów, mających na celu zbawienie dusz. Miną trudności, nastąpi pogoda i spokój tem słodszy, im cięższe były doświadczenia i próby. Kto wielkich nie wycierpiał dolegliwości, nie może uchodzić za doświadczonego, bo nie zgłębił tajemnicy ludzkiego życia. Ażali nie w przeciwnościach nabiera człowiek hartu i stateczności? Im trudności dotkliwsze, im cięższe i gwałtowniejsze, tem więcej powinien wśród nich mężnieć i statecznieć człowiek powołany do pracy misyjnej i cywilizacyjnej. A jeśli pomnąc na swą nicość, widzi i przenika bezdenną głębię swej nieudolności i słabości ludzkiej, to według słów Apostoła, wszystko może w Tym, który go pociesza. Kto bowiem w Panu ufa, nie będzie zawstydzon. Chociażby wszystkie potęgi piekielne z całą zapalczywością runęły na niego i ze złością ludzką się sprzęgły, misyonarz salezyański stanie silny jak opoka, nie zachwieje się, nie upadnie, a dzierżąc silnie krucyfiks dopełni w cieniu skrzydeł Opatrzności Bożej, co Ona w swych wiecznych dekretach postanowiła.

Widząc z jednej strony, że daremnem było oczekiwanie pomocy lękliwych ludzi, z drugiej natomiast nie myśląc odstąpić od tak humanitarnego i świętego projektu, postanowiłem sam wziąć się do dzieła, przygotować sobie statek zwany „Marya Wspomożycielka“, któryby już do nas należał, naładować potrzebnych materyałów i nie patrząc na nic, pruć fale morskie. Pomysł ten się powiódł: zamiar uskuteczniony został. Po szczęśliwej podróży na Atlantyku przybyłem do tej, rzekłbym, zaklętej rzeki Rio-Grande, która to tyle strachu innych nabawiła, w której szatan harce wyprawiał i swe larwy na postrach ludzi utrzymywał. Naszej łupinie o wiele mniejszej od innych parowców, nic się nie stało. Posuwała się hyżo po wzburzonych falach, a krom tego zapuściła się aż sześć mil w rzekę. Dobiwszy do upatrzonego miejsca, wyładowałem drzewo, żywność i inne potrzebne materyały. Ośmielony szczęśliwym obrotem rzeczy obróciłem jeszcze dwa razy i z wdzięczności ku potężnej Wspomożycielce mawiałem: *Audaces fortuna juvat*, śmiałym szczęście dopisuje.

Wstępne trudności zostały pokonane: czart czmychał czemprędzej przed nami ku Andom, by pogrążyć się z łoskotem na dno Oceanu Spokojnego. Za naszym poszły także inne statki, a i na falach rzeki widywano już wielkie okręty. Obecnie dojeżdża tu bez żadnej trudności olbrzymi parowiec *Torino*, a nieraz i parowiec argentyński *Uschuwaja* Co więcej nawrócił się sam p. Menendez, który pierw odgrywał rolę nieugiętego upar-

ciucha. W ostatnich bowiem miesiącach stał on tędy na swe pastwiska, ścielące się na blizkiem wybrzeżu, 10000 owiec i 200 sztuk bydła i koni. Przewoził je statek *Amedeo*, osławiony awanturami pierwszej podróży do ujścia rzeki Rio Grande.

Wszelako po ludzku na rzeczy się zapatrując, wydawać się mogło, jakoby nasze do owych miejsc przybycie miało się na nic przydać: kilka bowiem jednostek, chowiących węża nienawiści w zanadrzu, wzięły sobie niejako za zadanie sprzeciwiać się wszelkimi sposobami kiełkującej misyi.

Założenie misyi salezyańskiej w Rio Grande rozpoczęto 11 grudnia 1893 r., kiedy to, wylądowawszy z rzeki o sześć mil od jej ujścia, zbiliśmy pierwszą chatę. Obrane miejsce jest położone o jakie 500 m. od rzeki i 20 stóp nad powierzchnią morza, a wydawało mi się najwygodniejszem, zdrowem, a do tego i strategicznem, bo panuje nad szeroką okolicą. W początkach ostrożność przed nocnymi napadami tubylców, których tradycya i historya z bajkami zmieszane, przedstawiały jako dzikusów i ludożerców, była nietylko rozumna, ale i konieczna. Zajęliśmy więc takie położenie, że ktokolwiek z jakiejbądź strony się do nas zbliża, zostaje natychmiast i to z daleka spostrzeżony. Rzeka w tem miejscu. podczas przypływu morskiego, jest przeszło 500 m. szeroka: przy zatoce okryliśmy w niej niejeden wygodny bród.

Z początku niepokoił mię wybór tej strony wyspy. Tubylcy bowiem, upatrując w tej osadzie jakieś tajemne knowanie na ich niepodległość i swobodę, krążyli zdala koło nas, i biada. gdybyśmy byli opuścili ręce: bylibyśmy przepadli i wszystko byłoby poszło z dymem.

Pewnego dnia, gdy byliśmy zajęci budową, wszedłszy na dach, spostrzegłem coś dziwnego na dalekich łąkach. Nasze pasące się konie niestannie się ruszały i biegły to w tym kierunku, to w owym. Wytężyłem wzrok, by zbadać przyczynę tego niebywałego zjawiska, gdy oto zamiast czterech widzę pięciu ludzi, którzy na obszernem pastwisku wyprawiali takie gonitwy, że aż się za nimi kurzyło. „To Indyanin!“ krzyknąłem, „Indyanin nam konie kradnie.“ Na mój rozkaz czterech chłopów puściło się zaraz w pogoń za złodziejem, strzelając po drodze na wiatr. Indyanin, pojąwszy co się święci, umknął i przepadł jakby w ziemię. Była to ostatnia próba ich sprytności.

Wreszcie upatrzeliśmy porę sposobną do przebiegania stepów by odnaleść Indyan, lecz żaden tubylec nie chciał nam się nawinąć, gdyż pierzchali przed nami, jak płochliwe sarny. Wiele razy podeszliśmy pod ich szałasy i już mieliśmy się zetknąć z nimi, gdy spostrzegłszy nas, uciekali jakby ukropem oblani, zostawiając wszystko, łachmany, skóry, strzały i ogromne kawały piekącego się na ogniu mięsa. Nigdy nam najmniejszego nie stawiali oporu.

W Mato Grosso (Brazylia).

(Z listu ks. Jana Balzoli).

(*Ciąg dalszy*).

Smutny wypadek. — Wśród Cajabisów. — Indyanie na łodziach. — Powrót. — Zdrada. — Noc.

Poczerwieniał wschód. Promieniste i ciepłe słońce zajaśniało na niebie a w sercach naszych budziła się nadzieja szczęśliwego obrotu naszej wycieczki. Lekkie kanoy biegły chyżo po niespokojnych falach rzecznych. Od brzegów pokrytych gęstą trawą, ziołami i drzewami różnego gatunku i wieku, które bezładnie jedne obok drugich wyrastają, wiał czarujący powab podzwrotnikowej flory. Tylko ponadbrzeżne dzikie i nagie skały sprawiały ujemne wrażenie i mąciły pokój duszy dlatego, że z po za nich mogły każdej chwili wychylić się kasztanowate twarze okrutnych Indyan.

Dojechaliśmy znowu do niebezpiecznego wodospadu. Kilku wioślarzy wskoczyło w wodę by kierować naszą łodzią, aliści bystry prąd naprowadził ją tak nagle i w takim pędzie na rafę, że niebaczny sternik zatoczył i pogrążył się w nurtach; inny flis odniósł silne uderzenie w piersi i dostał zaraz krwotoku, a trzeciemu wioślarzowi zadała kanoa ciężkie rany w nogę. Odwaga, która aż do tej chwili nas wiodła, zaczęła teraz widocznie maleć i znikać. Każdemu można było wyczytać z wyrazu twarzy niechęć i zamiar odłożenia wycieczki do niewdzięcznej krainy na

stosowniejszą porę: nikt atoli nie śmiał zaproponować odwrotu, więc pojechaliśmy dalej. Lubo w następujące trzy dni nie spotkała nas żadna przygoda, towarzysze moi pogrążali się jednak w coraz głębszy smutek z tego powodu, że szczupłe zapasy żywności i choroba niektórych flisów nagliły, a o Cajabisach ni słychu ni widu.

Wreszcie wieczorem ośmnastego czerwca zjawił się na brzegu Indyanin, domagający się krzykiem i biciem rąk darów naszych. Zaopatrzywszy się w błyskotki pospieszyłem natychmiast ku niemu do lasu, ale spostrzegłszy, że przedemną czemprędzej w głąb zmykał, zostawiłem mu przedmioty na oznaczonem miejscu i wróciłem do kompanii.

Kiedy zmrok zapadł, rozpięliśmy namioty na brzegu, gdzie zauważono liczne ślady stóp ludzkich. Wznioskowaliśmy z tego, że w pobliżu leży ich główna *andea* (koczowisko), i położyliśmy się do snu, czując pewien niepokój w sercu.

Żaden niepomyślny przypadek nie zakłócił ciszy nocnej, ale wstawszy o świcie, ujrzeliśmy zaraz pięciu Indyan, którzy z przeciwnego brzegu machali okrutnie rękami i wrzeszczeli niezrozumiałym araukańskim głosem, okazując niby chęć otrzymania prezencików. Wyprawiłem się natychmiast i chciałem do nich przystąpić, ale oni cofali się bojaźliwie ku lasu, krzycząc jednostajnie: *api api checò arù arùchecò.* Zaczęli się zbiegać inni Indyanie i wkrótce zebrała się wielka kupa mężczyzn, kobiet i dzieci. Wtedy kazałem moim towarzyszom wysiąść na prawym brzegu i wysłałem dwukrotnie łódź z podarunkami, przed którą dicz natychmiast w różne strony się rozbiegła. Gdy wysłannicy moi drugi raz do ich brzegu z darami przybili, Indyanie okazali już więcej śmiałości i zaufania. Trzecią razą pojechałem ja sam, napełniwszy wszystkie kieszynie lusterkami, scyzoryczkami, naszyjnikami i bawidełkami wszelkiego rodzaju. Ledwom stanął na brzegu, już przybiegło do mnie ośmiu chłopców indyańskich, wyciągających dłonie i proszących o podarunek. Uczyniwszy zadość ich życzeniu, chciałem sobie resztę Indyan ująć, tłómacząc znakami, że wcale nie mam zamiaru targnięcia się na ich osoby. Wtedy pewien młodzieniec ofiarował mi w zamian za mój prezent dyniową łupinę pełną mąki, którą on chciwie połykał. Chciałem go po głowie pogłaskać, ale on się do tego stopnia przeląkł, że natychmiast umknął.

Dopiero kiedy pewien starzec z uśmiechem i zadowoleniem przyjął moje pieszczoty, ruszyła ku mnie cała gromada Indyan. Zaczęli badać moje szaty i zastanawiali się głównie nad obuwiem. Przetrząśli kieszynie, omacali mię całego, zabrali wszystki świecidełka: chcieli nawet krucyfiks i szkaplerz. Co im się nawinęło na oczy, czego się tylko dotknęli, tego już nie myśleli oddać. Gorzej miała się rzecz z moimi towarzyszami, którzy musieli zrzec się nawet koszul i kapeluszy. Indyanom nie mogło się to w głowie pomieścić, dlaczego ja chodzę w tak odrębnej odzieży i dlaczego nie chcę jej ustąpić.

Kiedyśmy podlegali temu przeglądaniu, zleciłem braciszkowi Silvio, by fotografował całą grupę Indyan. Nie mógł tego jednak wykonać, bo dzicz przestraszona ową czarną skrzyneczką i dziwną postawą fotografa, zaczęła nas podejrzywać o zdradę i musiano porzucić myśl ozdobiena *Wiadomości Salezyańskich* tak charakterystycznym obrazkiem.

Właśnie w chwili, gdyśmy zostawali w najlepszych stosunkach, wypadło na nas z lasu czternastu Indyan olbrzymich, kroczystych, posępnych i uzbrojonych. Po chodzie i groźnem wejrzeniu poznałem, że są to ludzie niebezpieczni i obawiałem się awantury. Szczęściem otaczający mnie Indyanie krzykami dali znać owym wielkoludom, że z nas dobre człeczyny, o czem ich zresztą najmocniej przekonały moje dary.

Na natrętne naleganie dzikusów, musiałem wziąć udział w ich ulubionym tańcu *barucurù*, chociaż tego pierwej z żadnem innem plemieniem nie uczyniłem. Tymczasem inni Indyanie dostali się na kanoy i z początku zamieniali z naszymi ludźmi przedmioty, ale potem ośmieleni zaczęli, na nic nie zważając, brać i unosić niezbędne nam rzeczy. Wtargnęli nawet do mego namiotu, zabrali kołdrę i poduszkę, otworzyli tłomoczek i zaczęli umykać z książkami. Wielkiem szczęściem dla mnie było, że w tej chwili nadbiegł kierownik ekspedycyi i kazał wszystko położyć na swoje miejsce, zezwalając jedynie na to, by sobie kołdrę przywłaszczyli. A ponieważ nie było wcale bezpieczną rzeczą zostawiać mój szatr bez dozoru, dał go pod straż pewnemu murzynowi, któremu zdziwieni Indyanie dzidą nogi skrobali, myśląc z początku, że mieli do czynienia z człowiekiem pomalowanym. Jednakże najuporczywszym był napad dziczy na kuchnie. Biedny kuchcik tracił po prostu głowę z rozpaczy, bo zabierano mu garnki, wiaderka, pokrywy, łyżki, noże i t. d.

Wprawdzie Indyanie zapraszali nas do swej niedalekiej *andei*, lecz aby przeszkodzić dalszemu obnażaniu nas z rzeczy potrzebnych, wymówiliśmy się z tego zaszczytu i postanowiliśmy wracać natychmiast do Cuyabà, za-

**

pewniwszy ich, że po siedmiu księżycach będziemy u nich z powrotem. Przed ostatecznem atoli rozstaniem się dałem każdemu po medaliku, który bardzo chętnie przyjęli, widząc że i my wszyscy mamy taki przedmiot zawieszony na szyi. Proszono mnie nawet o krzyż, który nosiłem na piersiach. Wyzyskałem tę okoliczność na to, by go pobożnie pocałować i uklęknąwszy, dać im na migi znać, że ten człowiek rozpięty na krzyżu jest Bogiem, Stworzycielem nieba i ziemi, do którego pójdziemy po śmierci. Przypatrywali się z wielką powagą i uszanowaniem temu wyznaniu wiary, a potem krzyknęli poważnie i uroczyście, jakby chcieli wyrzec: „Pojmujemy.“

Wreszcie wstąpiliśmy do łodzi, bo osłabienie ogarniało nas coraz większe i czuliśmy potrzebę jakiejś folgi. Cel wycieczki był osiągnięty, więc nie mieliśmy powodu ociągania się z odjazdem. Była to już druga godzina po południu, a wszystkim było jeszcze czczo w żołądku. Zamierzaliśmy odjechać nieco Indyan, potem wysiąść, zjeść obiad i rozłożyć się na nocleg. Lecz Indyanie towarzyszyli nam brzegami, a gdyśmy chcieli wylądować, rzucili się na kanoy i chcieli ostatek naszych rzeczy poskradać. Wtenczas nie mogąc już znieść tego ciężaru, jakim się dla nas stała dzika ludność, oświadczyliśmy jej stanowczo, że nie życzymy sobie, aby się dalej za nami wlokła.

Pomimo to niektórzy nie ustąpili i biegli brzegiem za nami wbrew naszej woli. Życzliwe wzajemne obejście się i braterskie pożegnanie nie mogły nam dać powodu do obawy i podejrzeń; przeto wzięliśmy się dziarsko do wiosłowania. Ledwośmy kilkaset metrów ujechali, gdy oto pada na powierzchnię wody strzała: krótko potem nadlatuje druga, trzecia, i wnet dziesiątki strzał skierowanych ku naszym łodziom świstać zaczęły w powietrzu. Z początku wzięliśmy je za okazy przyjaźni, ale kiedy jedna ze strzał drasnęła twarz sternika a inne zmierzały widocznie ku temu, by przebić na wylot nasze kanoy, wtedy zmieniły się nasze sądy. Dwaj chłopi żeglujący łodzią obsypaną strzałami rzucili się w wodę, krzycząc na całe gardło, byśmy się jak najprędzej oddalali. Wtenczas posypały się strzały na drugą kanoę, zmuszając naszych ludzi do ratowania się w wodzie. Wioślarze naszej łodzi wytężali siły, ale wkrótce i do nas zawitały strzały, a jedna przeleciawszy tuż nad moją głową, uniosła z sobą do wody mój kapelusz. Krzyknąłem zaraz na towarzyszy, by się jeszcze do broni palnej nie uciekali, bo przez to mogło się nasze położenie pogorszyć. Cóżbyśmy bowiem byli sobie poczęli wobec rozjuszonej dziczy, która potrafi cisnąć przeszło 200 strzałami w kilku minutach? Kto byłby nas uchronił od śmierci, gdyby cała blizka *andea* była przyszła z pomocą dzikusom?

Po krótkim czasie, kiedy ustały pociski, zjechaliśmy się w środku rzeki na naradę, gdy w tem na brzegu zjawia się dowódca bezczelnych napastników i prosi o podarunki, skacząc i krzycząc, jak gdyby nic zgoła nie było zaszło. Moi towarzysze, uniesieni gniewem, byliby niechybnie porwali za karabiny i byliby ołowianemi kulami rozbili w kawały miedziane czoło barbarzyńca, gdybym natychmiast nie był uspokoił umysłów, wykazując, że zadowolenie dzikusa było w owej chwili najroztropniejszym postępkiem. Wkrótce potem ten sam człowiek, którego najpierw zaczepiły strzały, wręczał dzikusowi żądane przedmioty. Dopiero wtedy, hałasując i wyjąc, pogrążyła się horda Indyan w ciemnym lesie.

Noc zapadła. Od dwudziestu czterech godzin nie mieliśmy nic w ustach. Zdradliwe podejście Indyan wywołało powszechne rozdraźnienie nerwów: nie wiedzieliśmy jak sobie w tem począć. Rozdano ugotowane kurczęta i pożeglowaliśmy dalej. Po dwuch godzinach przyspieszonej jazdy przybito do brzegu, ale nie można się było nań wdrapać, bo był wysoki i ślizki a przy tem sen nas morzył i kleił powieki. Spoczęliśmy tedy na wilgotnych i twardych kanoach. Najmniejszy szelest budził nas i przejmował zgrozą, jakby sto łuków napiętych z brzegu nam groziło. Rozbujała fantazya tworzyła gorączkowe sny: przygnębiające marzenia snuły się w duchu. Na domiar złego zerwał się wiatr i szum, nadeszła burza i nastąpiła ulewa.

Dnia następnego inne nieprzewidziane trudności stanęły na przeszkodzie naszemu powrotowi. Z powodu porywającego prądu rzeki, wioślarze nie żałowali fatygi i mozołów, a pomimo tego żeśmy im ulżyli trudu, podróżując pieszo brzegiem, musiano także z brzegu popychać kanoy zapomocą długich żerdzi. Po pewnym czasie żeglarze poczęli odczuwać znużenie, słabość, wycieńczenie — potem jeden po drugim chorowali ciężko i niebezpiecznie. Brakło ludzi do wioseł a ostatecznie przyszło do tego, że kierownik ekspedycyi p. Józef Pedroso Gomes zajął ze mną posterunek wioślarzy na naszej łodzi.

(Dokończenie nastąpi).



Głos z doliny Padu.

Po długiem odkładaniu wywięzuję się wkońcu z uczynionego przyrzeczenia i składam publicznie najpokorniejsze dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za łaski otrzymane. — Gdy miałem stanąć do poboru wojskowego zostawałem w wielkiej obawie, że będę do armii zaciągnięty. Taki możliwy obrót rzeczy był mi z wielu względów bardzo nie po myśli, i dlatego w tym tak niebezpiecznym razie udałem się z gorącą ufnością do Najśw. Serca Pana Jezusa i do Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych. Prośby moje wysłuchane zostały, gdyż ośm miesięcy ważyła się sprawa, aż wreszcie otrzymałem wiadomość, że jestem zupełnie wolny od służby wojskowej. — Prócz tego zeszłego roku dotknęło ojca mego takie nieszczęście, że cała rodzina była głęboko zmartwiona, bo zdawało się, iz będzie musiał zaprzestać pracy. Ufając w pomoc Bożą, poleciliśmy go gorąco opiece Najsł. Serca Jezusa i Wspomożycielki, co taki odniosło skutek, że ojciec może nadal pracować na utrzymanie rodziny. — To samo uczyniliśmy, gdy przed kilku dniami matka nasza, złożona chorobą, która powstała z bólu ręki, znajdowała się w tak rozpaczliwym stanie, że już nie było nadziei utrzymania jej przy życiu. Pan Bóg i Najśw. Wspomożycielka i w tem smutnem położeniu raczyli nas wysłuchać i pocieszyć, choroba bowiem ustąpiła i nie masz już żadnej co do wyzdrowienia matki wątpliwości. — Za te i za liczne inne otrzymane łaski niechaj będą nieskończone dzięki po wieczne czasy Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, którym gorąco na przyszłość siebie i całą rodzinę polecam, będąc silnie o tem przekonany, że Oni zapewne nas nie opuszczą, jeżeli z pełną ufnością i wiarą do nich uciekać się będziemy.

Lombriasco (Włochy) w marcu 1902.

Kl. Fr. L.

⁂

Wdzięczność Lewity.

Składam najwdzięczniejsze podziękowanie Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za Jej łaskawą pomoc przy egzaminie i w naukach, oraz za wiele innych łask tak duchownych jak cielesnych, które zawsze otrzymałem, ilekroć tylko z ufnością uciekałem się do Niej i do św. Antoniego Padewskiego.

Lwów, luty, 1902.

Kl. Adolf Antoni Zamaral
alumn seminaryum łacińskiego

⁂

Marya Orędowniczką niewinnych.

Dziękuję Najśw. Maryi Pannie, Przemożnej Pocieszycielce Utrapionych i Wspomożycielce

Wiernych, za doznaną łaskę, gdyż byłem w wielkiem utrapieniu. Mój przeciwnik wzniósł przeciw mnie i mojej rodzinie wielki proces niesprawiedliwy, który się toczył półtora roku. Miał dwuch słynnych adwokatów, którzy to zawsze odgrywają wielką rolę w procesach. Ja także począłem się bronić i w tem utrapieniu udałem się do Przemożnej Wspomożycielki Wiernych, ażeby się ta Najśw. Panna Marya przyczyniła za sprawiedliwością. I stało się, że przeciwnikowi pomieszał się dowcip, przegrał ów złowrogi proces i wszystkie koszta spadły na niego: a ja z moją rodziną wyszedłem szczęśliwie. Na podziękowanie składam ofiarę 4 marek na cele salezyańskie. — Niech będzie cześć i chwała teraz i zawsze i na wieki wieków tej Wspomożycielce Wiernych i Królowej Korony Polskiej — Najśw. Maryi Pannie.

Junczewo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

L. D.

⁂

Marya uzdrawia chorą osobę.

Pani Joanna Henne z Dralin złożoną była tak ciężką chorobą, że lekarze z Lublinca zwątpili o jej wyzdrowieniu i nie robili już żadnej nadziei. Tak mąż chorej, jak i rodzice tejże udali się do zakładu księży Salezyanów w Oświęcimiu, posyłając przez moje pośrednictwo 10 marek i prosząc o ofiarę Mszy św. i nowennę na intencyę chorej. Skutek tego był taki, że chora po nowennie tak dalece wyzdrowiała, że już może o własnej sile kościół odwiedzić i swoje obowiązki domowe z łatwością wypełniać.

Dlatego jej powrót do zdrowia przypisują tylko pomocy Najśw. Wspomożycielki Wiernych i odmówieniu nowenny przez wychowanków oświęcimskich. Z tej przyczyny składa owa pani Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa, jak Najśw. Wspomożycielce Wiernych i księżom Salezyanom publiczne podziękowanie, i prosi ogłosić niniejszy list drogą *Wiadomości Salezyańskich*. Na dowód wdzięczności składa małą Ofiarę na cele salezyańskie.

Lubecko (Górny Śląsk).

Jan Huppa.

⁂

Marya w obronie targanej sławy.

Zostałam przez źle mi życzących ludzi obmówiona w bardzo haniebny sposób, tak iż musiałam udać się na drogę sądową. Podczas procesu innej kategoryi ludzie drwili sobie ze mnie a przeciwnicy moi nie szczędzili ani sprzecznych z prawdą słów, ani pieniędzy, by tylko ich niesłuszna sprawa wyszła jak najlepiej. W owem tak przykrem dla mnie położeniu, udałam się o pomoc do Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, i zostałam wysłuchaną. Wygrałam sprawę, bo okazało się, iż w onych rozsianych pogłoskach nie było ani jednego słowa prawdy. Chcąc wywiązać się z danego przyrzeczenia, posyłam 4 korony na odprawienie mszy św. na podziękowanie za odebrane łaski i prosząc o dalszą jej opiekę nadetmną.

Całemu światu głoszę moją wdzięczność dla Najśw. Wspomożycielki i całe życie moje polecam Jej opiece.

Ostałowice (Galicya).

P. K.

⁂

Karol Jastrzębski, uczeń VIII kl. gimn. z Tarnopola (Galicya):

Frater meus Theophilus in quadam necessitate magna cum confidentia ad Dei Matrem de Perpetuo Succursu novenam obsolvere coepit, humillime adprecans, ut sibi benigne subveniret et imminentem rem adversam a se propitia averteret. Ego autem ad Mariam, Christianorum Auxiliatricem, aliquas orationes humiliter et maxima cum devotione ac spe ad eandem intentionem recitavi et promisi suppliciter, si Immaculata Virgo indignas deprecationes nostras exaudierit, me palam et aperte pro hoc beneficio in ephemeride salesiana gratias humiles esse acturum. Idcirco Sacratissimo Cordi Jesu et Sanctissimae Auxiliatrici gratias quam maximas intimo ex corde agere non desino, quia supplicationes nostrae sunt exauditae et susceptae et Maria fratrem meum a supra perstricto periculo incolumem clementissime liberavit. Quae cum ita sint, Mariae Auxiliatricis potenti tutelae praeter carissimos parentes meos measque ambas sorores et iam commemoratum fratrem, me etiam humillimum famulum comendo et hanc meam adiutricem imploro, ut mihi benedictionem Omnipotentis, lumen sapientiae et felicissimum finem litterarum gymnasialium a dilectissimo Filio suo exorare benigna dignetur. Insuper Mariae rem gravissimam, cuius nondum mentionem feci, permittere eamque rogare non omitto, ut ea adiuvante et protegente in bono proposito meo

firmiter ac constanter perseverem meque quam optime ad id vivendi genus, quod mihi elegi, preparem et postea sacerdotio initier; in quo ad majorem Dei gloriam et in Mariae honorem quotidie sacrificium Missae celebrer et indignis manibus panem et vinum in sacrosanctum Corpus et pretiosissimum Sanguinem Christi transubstantiatum Aeterno Patri offeram.



Marya uzdrawia chorego.

Czcigodnym Ojcom Salezyanom i ich wychowankom serdecznie dziękuje za odprawienie nowenny i Mszy św. Ojciec mój przychodzi zupełnie do zdrowia, za co niech będzie cześć i chwała Najsł. Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych. Proszę przyjąć ofiarę w ilości 6 marek, które równocześnie przekazem posyłam, z tem zapewnieniem, że nie zapomnę Was, Czcigodni Ojcowie, jakąbądź ofiarą wspierać.

HELENA ZIELAZEK.

Sady.



Dziękujemy Najśw. Maryi Pannie za cudowną pomoc i nadzwyczajną łaskę, jakich w naszem strapieniu i nieszczęściu zaznaliśmy, dziękujemy i fakt ten dla chwały Królowej Niebios i dla pokrzepienia strapionych i nieszczęśliwych, a Pannę św. o pomoc proszących, do publicznej wiadomości podajemy.

A. MNISZKOWIE.

Makuniów (Galicya).



Żona moja zapadła na chorobę, którą sławni ekarze uznali jako ciężką i groźną, wymagającą koniecznej operacyi. Będąc z tego powodu niesłychanie zbolałym, postanowiłem się chwycić niezawodnego środka. Oto posłałem na Mszę św. do Turyn z prośbą odprawienia nowenny i nabożeństwa do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. W domu z chorą żoną równocześnie odprawialiśmy na ten cel nowennę. I o cudo niepojęte! modły do Najśw. Panny Maryi sprawiły, że choroba niebezpieczna żony zupełnie zniknęła i operacya okazała się niepotrzebną. Za to niech będą nieskończone dzięki Najsł. Sercu Pana Jezusa i Królowej Niebieskiej, Najśw. Pannie Maryi, Wspomożeniu Wiernych.

JÓZEF GIBAS.

Brzezil (Galicya),

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Jan Resner, *Zadnieszówka* (Galicya); A. Darowska, *Rycerka Dolna* (Galicya); J. Gorecka, *Założce* (Galicya); X. Jagła, *Podgórze* (Galicya); Karol Robotycki, *Drohobycz* Galicya); J. Ściskoł, *Pawłowice* (Górny Śląsk); P. Chmielowska, *Lwów* (Galicya); P. Chmielnik, *Turka* (Galicya); S. Krzyżagórski, *Kuchary* (Wielkie Księstwo Poznańskie); P. Kuczara, *Szczakowa* (Galicya); M. Nowożenny, *Łowce* (Galicya); W. Breitmajerowa, *Stryj* (Galicya); W. Karaszkiewicz, *Borysław* (Galicya); U. Diembowska, *Roszkowo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); A. Frontowo, *Zawoja* (Galicya); Józef Dziurzik, junior, *Wieszowa* (Górny Śląsk); Maryanna Bilenin, *Brzeszcz* (Galicya); Berta Tarnowska, *Stare Zabrze* (Górny Śląsk); Amalia Klama, *Stare Zabrze* (Górny Śląsk); Piotr Jarzombek, *Jeżowa* (Górny Śląsk); Julia Jaroszowa, *Chlebowice Wielkie* (Galicya); Anastazya Wojczek, *Królewka huta* (Górny Śląsk); J. Simonowa, *Nowy Sącz* (Galicya); Czesława Jodłowska, *Podgórze* (Galicya); I. Dz och, *Inowracław* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Ignacy Bachmański, *Radlin* (Górny Śląsk); J. Wnękowska, *Boguchwała* (Galicya); Stanisław i Ludwika Wojnar, *Korczyna* (Galicya); J. Gidaszewski, *Radzewo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Stefania Klimonda, *Kraków* (Galicya); Jakób Wysocki, *Podegrodzie* (Galicya); Józef i Anna Zawadzcy, *Kalk* (Prowincya nadreńska); Bernard Schwarz, *Kornitz* (Górny Śląsk); Andrzej Podraza, *Eddington* (Stany Zjednoczone); Józef Grądkowski, *Bołszowce* (Galicya); Józef Krupa, *Herbotów* (Galicya); Honorata Lange, *Zabrza* (Galicya); Ksawery i Julianna Bezdony, *Nowydwór* (Prusy Zachodnie); Franciszek Wieloch, *Charlottenfeld* (Górny Śląsk); Julian Zaremski, *Linowiec* (Prusy Zachodnie); M. Bożyńska, *Boguszyn* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Marya Mikulska, *Tarnów* (Galicya); Marya Studnicka, *Kostrze* (Galicya); Piotr Chromy, *Zaleska wola* (Galicya); Marya Jacek, *Raciborska kuźnia* (Górny Śląsk); Jan Rother, *Dometzkohammer* (Górny Śląsk); Ksawera Bartunek, *Rzeszów* (Galicya); Franciszek Adaszkiewicz, Wilhelm Krawiec, *Imielnica* (Górny Śląsk); Joanna Maseli, *Gąsiorowice* (Górny Śląsk); Jan i Zuzanna Garstka, *Rohatyn* (Galicya); Jan Polok, *Królewska huta* (Górny Śląsk); P. Piotrowska, *Gołańcz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Ignacy i Konstantyna Świerkta, *Kuźnia* (Górny Śląsk); Michał Rosłanowski, *Czortków* (Galicya); Jan Florek, Marcin Mróz, Stanisław Migura, Jan Mańczyk, Filip Pakosch, Jan Mutz, Ludwik Daniec, Franciszek Nocoń, *Rosmierz* (Górny Śląsk); Cecylia Goreczka, *Laurahuta* (Górny Śląsk); Antoni Konas, *Rohatyn* (Galicya); Franciszek Ziemniak, *Sambor* (Galicya); Jan i Marya Uzarscy, *Ruska wieś* (Galicya); Augustyn Herold, *Milanowo* (Prusy Zachodnie); Ambroży Pospieszczyk, *Kadłubiec* (Górny Śląsk); Jan Misiński, *Podhorce* (Galicya); Zofia Smolarska,

Stanisławów (Galicya); Franciszka Garna, *Małe Radowiska* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Horatz, Wincenty Musiał, *Podgórze* (Galicya); Andrzej, Anna i Marya Wójcik, Anna Jakubiec, *Bierzanów* (Galicya); August Czmok, *Bismarkhuta* (Górny Śląsk); Balbina Wolińska, *Poznań*; Wiktorya Podzimska, *Rybna* (Górny Śląsk); Józef i Agnieszka Wujczyk, *Kobierno* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Błażej i Marya Lassok, *Świętochłowice* (Górny Śląsk); Anna Bronder, *Wawerly* (Stany Zjednoczone); X. Dąbrowski, *St. Anna* (Stany Zjednoczone); Franciszka Szypura, Cecylia Kaczmarek, *Dakowy mokre* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Maryanna Owsianna, *Opalnica* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Weronika Szyja, *Carlssegen* (Górny Śląsk); Franciszek i Wiktorya Kristek, *Dzieckowice* (Górny Śląsk).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.



Ze Wspomnień Misyonarza. „Ludność patagońska składa się z rasy czysto europejskiej, z rasy indyańskiej i z ciekawych kreolów (czyli potomków dawnych europejskich osadników), którzy zaparli się obyczajów swych ojców, zmieszali się z rasą indyańską, zżyli się z dzikością kraju i do niej zastosowali swoje życie. Zwią się powszechnie *gauchos* i stanowią obecnie lud napół dziki.

Wykształceńsi *gauchos* uczęszczają do kościoła i odprawiają tamże praktyki religijne, lud zaś prosty, nie z braku wiary, ale z pewnej bojaźni, rzadziej do niego wstępuje. Pomimo to wszyscy mają głębokie przekonanie o istnieniu Boga, jak to wykazują słowa, któreśmy często po onych stepach słyszeli:

„Bóg istnieje. My poznajemy jego potęgę w promienistych pięknościach słonecznych, w ciemnościach nocnych, w blasku gwieździstego nieba, w spokojnem świetle księżyca żeglującego po błękitnych głębiach firmamentu. Bóg istnieje. My słyszymy głos jego w łoskocie grzmotu i świście huraganu ryczącego nad stepem. Kto posuwa obłoki unoszące się na wiatrowych skrzydłach? Kto im rozkazuje, by rozbiwszy się i prysknąwszy jak bańki mydlane, spuszczały na ziemię lekkie kropelki dżdżu? Kto sieje wśród nocnej ciszy ożywiającą rosę po listkach, trawkach, kwiateczkach? Bóg istnieje, On to wszystko stworzył i wszystkiem kieruje“.

Jednakże najpospolitsze argumentacye o istnieniu Boga wywodzą *gauchos* z samej przyrody, z swych zielonych pól, z flory i fauny swego kraju. Puściłem się raz na polną wycieczkę w towarzystwie pewnega *gaucha*, który miał żyłkę poetyczną. Chcąc się przeświadczyć, jak miał głęboko w duszy wyryte pojęcie o istnieniu Istoty Najwyższej, przedstawiłem mu kilka zarzutów ateistycznych, na które półdziki kreol rzekł mi, co następuje:

„Chyba ksiądz dobrodziej ze mnie żartuje, bo wiem w co ksiądz wierzy i co wyznaje mocniej odmnie. Choć nie posiadam nauk, ponieważ nie jestem ani literatem ani uczonym, to mam jednak o tej pierwszej prawdzie najgłębsze przekonanie; a jeżeli ksiądz mi jej dowiedzie wywodami naukowymi, to ja również jej kiędzu dowiodę, ale opierając się jedynie na tem, co nas tu otacza“.

Był to dzień skwarny. Konie kłusowały z wielkim trudem. Nie mogąc już znieść piekącego pragnienia, pojechaliśmy na brzegi Rio Grande, by w cieniu wierzb płaczących wypocząć na zielonej murawie.

„A co? rzekł mi *gaucho*. Czy ksiądz dobrodziej nie widzi tych delikatnych i posilnych trawek, tych kwiateczków malowanych śniegiem i bladą żółtością, z których, niby z dziewiczych krynic tryska wonność miła i przyjemna? Któż to stworzył? Jakiż cel ich istnienia? Ksiądz dobrodziej odpowie mi, jak na uczonego przystoi; ja zaś poprostu powiadam, że Bóg tu je zasadził bydłu na paszę i na pożywienie lekkonogiego *guanaca*, gdy grunt doliny wysycha i skazuje na śmierć głodową każdą roślinkę. Czy ksiądz nie słyszy szczebiotania i nęcącego śpiewu skowronków i drozdów, które z lekka zasiadają na ugina-

jących się gałązkach pokrytych słodkimi *piquillines?*... Kto stroił ich lutnie? Dla kogo brzmią te hymny chwały w tej samotności? Ksiądz dobrodziej zarazby to wytłómaczył swą nauką, a ja utrzymuję, że Bóg natchnął tych spiewaków, Bóg ich wyuczył tych cudnych melodyi, dla Jego chwały brzmią te wdzięczne pieśni, i On ich słucha i w nich sobie podoba, kiedy się niewidzialnie unosi nad stepem z porannym wietrzykiem, co porusza zwieszające się nad rzeką pręciki wierzbowe. Ach!... ja też czuję potrzebę śpiewu. Chciałbym rozumieć świegotanie ptasząt,



Cmentarz w Juiz de Fora.

chciałbym z nimi latać z konara na konar, i nie schodziłoby mi nigdy na słodkim owocu pośród gałązek przyjemnych *piquillines*, Czy ksiądz nie słyszy miłosnego nucenia turkaweczki, radosnych świerkotów skowronka i wtorującej harmonii mruczącej rzeki? Nie masz dowodów jaśniejszych, więcej rozrzewniających mów o Bogu: w nich widzimy i słyszymy tego Ducha, który ziemię i nieskończoność zapełnia. Ach! ptaszki chwalą nieustannie Boga, bo kiedy On budzi rumianą zorzę, przybraną w promieniste blaski, i kiedy przechodzi po srebrzystych obłokach nad polami i lasami, one pamiętają o Nim lepiej od nas. One go poznają po śladach w letni poranek, gdy mu nucą przyjemny hymn, który rozlega się po wszystkich dolinach. One go znają, kiedy ważą się na skrzydłach pod niebiosami i kąpią się w światłości; kiedy proszą o pożywienie i znajdują słodki owoc; kiedy szukają schronienia i znajdują takowe w miękiej tkance z gładkich trawek, którą zawieszają na gałązkach nad spokojnem jeziorem, i którą kołysze lekki wietrzyk i aura wieczorna".

I nie byłby skończył, gdyby nasze oklaski nie były mu przerwały mowy."

W pięćdziesiątą rocznicę. 26 kwietnia 1852 nastał straszliwy wybuch prochowni, położonej o 500 metrów od Oratoryum turyńskiego, które mogło być doszczętnie zniszczone. Kamienie ważące 200 i 300 kilogramów wyleciały w powietsze a ogromne i płonące belki spadały aż na podwórze zakładu. Blizkie domy się zapadły, dwa rzędy potężnych morw powaliły się, jak wali się w żniwo żyto skoszone. Ale Oratoryum ks. Bosko prócz groźnego wstrząśnienia murów, prócz wybitych szyb i popękanych ścian, nie odniosło większych uszkodzeń, pomimo że dom był bardzo licho wybudowany a kościół św. Franciszka, właśnie ukończony, miał mury jeszcze świeże i słabe.

Ocalenie to przypisać należy w pierwszej linii troskliwej Opatrzności i opiece Najśw. Wspomożycielki Wiernych, ale na drugiem miejscu stawić musimy pobożność dzieci ks. Bosko.

W roku bowiem 1851 popadł w śmiertelną chorobę jeden z wychowanków ks. Bosko, Michał Fossio, który był terminatorem ślusarskim i należał do najpobożniejszych i najcnotliwszych uczni naszego Ojca. Właśnie był przyjął ostatnie namaszczenie, gdy pewnego dnia, jakby uniesiony zachwyceniem, począł powtarzać:

— Nieszczęście w Turynie! Nieszczęście w Turynie!

— Cóż nam więc zagraża? pytali jego towarzysze.

— Trzęsienie ziemi.

— Kiedy?

— W przyszłym roku. Och! nieszczęście w Turynie dwudziestego szóstego kwietnia.

— I co mamy czynić? pytali chłopcy przerażeni.

— Modlić się do św. Alojzego, aby obronił Oratoryum i wszystkich jego mieszkańców.

Przepowiednia Fassia sprawiła bardzo silne wrażenie na umysłach dzieci, które, idąc za jego radą, dodawały do wieczornych modlitw *Ojcze Nasz* i *Zdrowaś* na cześć św. Alojzego Gonzagi z tą prośbą: *Od wszego złego wybaw nas Panie!* Ta praktyka utrzymała się dotąd we wszysteich domach salezyańskich. — W ten sposób pobożność dzieci ks. Bosko uratowała Oratoryum od niechybnej katastrofy.

To nie jedyny dowód skuteczności ich modlitwy. Gdy się kto udawał do ks. Bosko, aby otrzymać jaką łaskę, odpowiadał on najczęściej: "Moje dzieci się będą o nią modliły". I nie trzeba sądzić, że to było tylko czcze słowo. Modlitwa wspólna, odmówiona głośno, staje się cudowną siłą a jej potęga wzrasta niewątpliwie, jeśli przechodzi przez usta wielkiej liczby pobożnych dzieci. W Oratoryum nie brakło nigdy chłopców cnotliwych, a u wielu z nich życie wewnętrzne dochodziło do stopnia dziwnych illuminacyi, tajemniczych zjawisk jasnowidzenia i proroctwa.

Zdarzały się n. p. że po Mszy św., któreś z dzieci przybiega do ks. Bosko i mówi:

— Ojcze, myślisz właśnie o tej i tej sprawie; masz słuszność, Ojcze, rzecz sie powiedzie.

— Doprawdy, malcze? a jakże ty wiesz o tem? kto ci to powiedział? Dziecko się miesza i jąka; badane milczy i na tem się kończy, że chłopiec nie przypomina sobie, co przed chwilą powiedział.

Ks. Bosko napisał nawet sam i ogłosił życiorys jednego ze swoich wychowanków: nazywał się Dominik Sawio, urodzony w r. 1842, um. r. 1857. Ten chłopiec był wzorem czystości; wiele razy znaleziono go w stanie ekstazy i nie jedną łaskę otrzymano dzięki jego modlitwom. Pewnego dnia chłopczyk ten wbiega z pospiechem do pokoju ks. Bosko, prosząc go, aby szedł za nim.

— Ale o cóż idzie? pyta kapłan.

— Dla Boga! chodź ze mną, Ojcze, nie ma chwili do tracenia.

Ks. Bosko nie waha się dłużej i idzie za nim. Dominik prowadzi go do jakiegoś domu, przy ulicy Sierot, i wskazuje mu drzwi na trzeciem piętrze.

— Tu, mój Ojcze, rzecze, a sam wraca do Oratoryum.

Ks. Bosko wchodzi i zastaje konającego. Był to katolik, który przeszedł był na protestantyzm, i który w ostatniej chwili życia gorąco zapragnął powrócić na łono rzymskiego kościoła. Nie tracząc czasu, ks. Bosko wyspowiadał go, przyniesiono Oleje św., chory je przyjął i oddał duszę Bogu pełny radości i nadziei.

Savio nie wychodził od wielu dni z Oratoryum. Gdy go pytano, jakim sposobem dowiedział się o tem, co się działo w domu dość oddalonym, posmutniał, spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Nie nalegano: *Secretum Regis abscondere bonum est.* Dobrze jest szanować królewskie tajemnice.

Trudno znaleść coś bardziej wzruszającego jak życia Dominika Savio. Był to prawdziwy mały apostoł, płonący miłością i gorliwością o zbawienie dusz bliźnich. Gdy zakończył życie doczesne, stał się przedmiotem czci swoich towarzyszy. Wzywano go w potrzebie i liczne łaski wyjednano za jego wstawieniem się.

Ostatnia karta z życia biskupa salezyańskiego ks. Alojzego Lasagni. Pamiętny dla Zgromadzenia Salezyańskiego rok 1895 miał się w Brazylii zakończyć założeniem kolonii rolniczej w Cachoeira do Campo i otwarciem zakładów wychowawczych dla dziewcząt w Ouro Preto i w Ponte Nowa. Ks. biskup Lasagna wybrawszy pomiędzy Salezyanami i Siostrami Wspomożycielki Wiernych personal zdatny do wykonania ważnego zamiaru, zwołał go do Guaratinguetá, skąd on sam chciał ich powieść na pole pracy apostolskiej. Do ekspedycyi należało ogółem 17 osób gotowych na wszelkie poświęcenie i na każde skinienie ks. biskupa. Wyjazd do Ouro Preto, ówczesnej stolicy stanu Minas Geraes, miał nastąpić 4 listopada, na który to dzień zamówiono wagon służący wyłącznie misyonarzom salezyańskim. Różne atoli sprawy, jak niemniej dziwna i niezwykła ujma właściwej sobie odwagi i rezolutności, którą doświadczył na sobie ks. biskup, zniewoliły do odłożenia wyjazdu na dzień następny.

Obudzeni wczesnym rankiem, schodzą się bohaterowie wiary w kaplicy na zwykłe modlitwy poranne. Kilku spowiada się u. ks biskupa, który sam przystępuje do sakramentu pokuty i odprawia z widocznem nabożeństwem mszę św. Potem, gdy inni pakowali podróżne przybory, wdaje się w poufną rozmowę z ks. Peretto, dyrektorem kollegium św. Joachima

w Lorenie: wyjawia mu ważne tajemnice i daje różne rozkazy na bliższą i dalszą przyszłość, przemawiając słowami tak czułemi, tkliwemi i smętnemi, że księdzu Peretto wszystkie te rzeczy w głowie pomieścić się nie mogły.

Niedosyć na tem. Ks. biskup mimo ogólnego zdziwienia spisał swój testament, mówiąc: „Nie wiadomo co nas w takich podróżach czeka. Przypadki po ludziach chodzą“. A przecież on nie takie odbywał podróże, a nigdy się nie obawiał, ale raczej rwał się do nich, kiedy chodziło o chwałę Bożą.

Wreszcie wybiła godzina odjazdu. Ks. biskup udziela po raz ostatni błogosławieństwa całej familii salezyańskiej w Guaratinguetá i żegna z nadzwyczajną czułością wszystkich współbraci i uczni. Na jego twarzy odbija się lekki wyraz smutku: brak mu owej rezolutnej energii, stanowiącej niby cechę jego charakteru: waha się i dziwna rzecz! nie wie czy jechać, czy zostać. Niestety decyduje się na wyjazd i z współbraćmi udaje się na stacyę. Towarzyszy mu ks. Peretto, któremu wylewa swe serce i wynurza się, jak konający ojciec przed pierworodnym synem.

Na dworcu kolejowym wsiadają misyonarze do wagonu wskazanego im grzecznie przez ministra rolnictwa. Wagon ten długi 10 m. miał dwa główne przedziały, połączone drzwiami, jeden dla Salezyanów, drugi dla Sióstr. Jakiś człowiek o zbójeckiej minie i groźnem wejrzeniu, przypatrywał się pojedynczo każdemu wsiadającemu misyonarzowi, a nie widząc w ich gronie ks. Albanello, pyta półgłosem jednego z urzędników o przyczynę jego nieobecności. Urzędnik odpowiada, że ks. Albanello wyjechał już dnia poprzedniego. Wtenczas tajemniczy mąż wpada w piekielną złość, a po chwili mruczy pod nosem: „Bardzo sobie ten klecha roztropnie postąpił. Ale pomylił się grubo w swych rachubach. I jego nie minie ten los, który innych czeka“. Te słowa doniesione ks. biskupowi przez zakonnicę, która je słyszała, spotęgowały złowieszcze przeczucia i smutek, które się od samego rana rysowały na jego obliczu. Wszystko go przekonywało, że przewrotnicy, którzy pierw dokładali sił, by zamieszać pokój w czasie misyi w Guaratinguetá, układają teraz patajemnie jakąś straszną, olbrzymią zemstę. Nie tracił jednak ducha, obrócił wszystko w żart, polecił towarzyszom zdać się na wolę Bożą i zaprosił wszystkich do modlitwy.

Pociąg ruszył z miejsca i o godzinie 5 wieczorem stanął bez najmniejszego wypadku w Barra do Piray, gdzie misyonarzom wypadło przenocować. Nazajutrz, odbywszy swe praktyki duchowne, oczekiwali już o godz.



Miejsce nieszczęścia.

7,30 pociągu pospiesznego, który ich miał przewieść do Ouro Preto. Pociąg ten z powodu złamania jednego koła opóźnił się jakie trzy godziny z przybyciem.

Uszykowano nowy pociąg, lecz wagony ustawiono w takim porządku, że wszyscy misyonarze się nad tem głęboko zastanawiali. Po lokomotywie i wagonie towarowym następował bezpośrednio wagon naszych księży, a po nim dopiero wagon pocztowy i wagony pierwszej i drugiej klasy. Ks. Albanello, który tu właśnie zszedł się z komitywą i spostrzegł ten porządek, zaczepił naczelnika stacyi o znaczenie tego dziwactwa; ale nie raczono mu odpowiedzieć.

Zdarzenie to wprawia misyonarzy w coraz większy niepokój. Wreszcie pociąg pospieszny zaczyna się posuwać ku Juiz de Fora. Od czasu do czasu otwierają się przed podróżnymi co raz to piękniejsze panoramy. Nie jest zbytecznie gorąco, choć dzień ma się ku południowi, ani

się też nie wznosi dokuczliwy pył, który im im się gdzieindziej naprzykrzał. Ale w zakonnej komitywie smutno i cicho: tylko chwilami słychać szept modlitewki. Zdaje się jakby wszystkim dolegało coś takiego, czego ani słowy oddać nie można. Do posiłku, do odpoczynku, do rozmowy nikt nie ma chęci. Na domiar złego zaburzyło się powietrze, zerwał się dziki huragan, nawalny deszcz zaczął lać jak z cebra, a łoskotny odgłos piorunów przejmował do żywego.

Pociąg staje o 5 tej w Juiz de Fora. To najpiękniejsze z nowoczesnych miast brazylijskich jest niby środkiem wielkiego koła zakreślonego pagórkami, na których przyroda roztoczyła przepych dziewiczych lasów. Tuż pod wagonem misyonarzy schodzi się zaraz kilku paniczów, którzy się uważnie podróżującym przypatrują, grożą misyonarzom i miotają złorzeczenia i przekleństwa. Przerażone Siostry zamykają w tej chwili okienko wagonowe, ale hałastra wybucha szatańskim śmiechem i woła:

„Owszem, owszem, zamykajcie.... przyjdzie w głowie wnet na was kreska!“ Ani Salezyanom ani Siostrom nie może się pomieścić ta bisurmańska bezczelność, więc ks. Zatti wychodzi z wagonu, strofuje ostro bezwstydnych zuchwalców, zmusza ich do odejścia z kwitkiem, i dodiero na dany znak odjazdu wsiada napowrót do wagonu.

Ale groźne słowa wywarły tak silne wrażenie na oblubienicach Chrystusowych, że jedna pyta bojaźliwie:

— Cóżby miały znaczyć te straszne groźby?

— Czemużby nam miano doskwierać, skoro pragniemy wszystkich uszczęśliwić?

— Co za szczęście, rzeknie inna, byłoby to dla nas, ucierpieć coś dla chwały Bożej. Wtedy słuszniej zwanoby nas oblubienicami Pana Jezusa.

— Dałby Bóg, byśmy poszły do nieba z palmami zwycięstwa.

— Trzebaby wprzód paść ofiarą nienawiści ku Bogu i Jego Kościołowi świętemu.

Wtem jedna z nich zwróciwszy się do przewodniczki, Matki Teresy Rinaldi, słynnej z swych obszernych i głębokich pomysłów i niepohamowanej gorliwości, prosi ją z uśmiechem i żartem:

— Matko zostawże nam przed męczeństwem jaką relikwię.

Przełożona płaci żart żartem. Zdejmuje sobie prędko trzewik i mówi:

— Oto masz relikwię: przechowuj ją z wielkiem uszanowaniem.

Wszystkie wybuchają śmiechem i na tem kończy się rozmowa.

Tymczasem pociąg pędzi szalenie po gładkim trakcie, jak chmura pędzona wiatrem, jak strzała pchnięta silnie natężoną cięciwą. Zakonnice skupiają się do modlitwy. Księża odmawiają brewiarz. Ks. biskup z sekretarzem zatapiają w pobożnem rozmyślanie. Wszyscy się modlą.

Aliści na pół kilometra od Juiz de Fora słychać kilkakrotny świst lokomotywy. Ks. biskup wygląda okienkiem i aż dreszcz go bierze, widzi bowiem z przeciwnej strony szybko nadbiegający drugi pociąg. Zrazu myśli, że linia kolejowa ma dwa tory i wygląda jeszcze raz. Lecz o zgrozo! nie masz drugiego toru a palacz zeskakujący z maszyny zwiastuje, że straszna katastrofa wisi nad podróżującymi. Z powodu ostrego skrętu obydwaj maszyniści spostrzegli się dopiero wtedy, gdy bardzo mała odległość dzieliła ich pociągi. Wtedy puszczają kontraparę i, narażając własne życie, usiłują osadzić lokomotywy na miejscu. Ale próżne to wysiłki. Z ust ks. biskupa wyrywa się krzyk: „Mój Boże, zderzenie! Maryo, Wspomożycielko Wiernych ocal...“ i nim jeszcze dokończył wezwania zderzają się pociągi. Powietrze wstrząsa się od huku i trzasku. Olbrzymie cielskia maszyn wyskakują w powietrze i rozbijają się w kawały. Wagon pocztowy podnosi się z przodu, wbija się w wagon misyonarzy, rozwala ściany, zmiata ławy, gniecie osoby i zatrzymuje się na pół metra przed księżmi Albanello i Zatti, obróciwszy cały wagon w kupę rumu, drzewa, ławek, żelaza.... tzupów i rannych. Ks. Zatti i Albanello drętwieją, osłupiałość ogarnia ich wzrok, myśl, wyobraźnię, całą osobę. Nie wiedzą czego się jąć, czy Bogu za ocalenie dziękować, czy rozgrzeszać umierających. Wołają ks. biskupa i straszna cisza odpowiada ich wołaniu. Wtedy ks. Zatti wdziera się do przedziału ks. biskupa, szuka oczyma i spostrzega go ściśnionego między ścianami dwóch wagonów. Twarz opierała się na okienku, pierś była zgnieciona. Może jeszcze był przy życiu, przed chwilą bowiem rzekł do zakonnicy wzywającej pomocy: „Nie mogę ci ulżyć. Wzywaj Najświętszą Pannę“. Nie było

wcale możliwem przyjść mu z pomocą.

Na ten widok w głowie się księdzu Zatti pomieszało, bo mimo ulewnego deszczu wybiega na otwarte błonia, pędzi na oślep w nieznane strony, szlocha i krzyczy wśród strasznej ciszy śmierci. Wreszcie przyszedłszy do siebie wraca na miejsce wypadku i woła z płaczem ks. biskupa, ale naprożno się łudzi, biskup z Tripoli już trupem.

Tymczasem Salezyanie, którzy ocaleli, i reszta pasażerów zbierają się przy gruzach wagonu misyonarskiego, nie wiedząc do czego pierw przyłożyć rękę. Myśląc jednak że pod niesforną kupą drzewa i żelaza będą może istoty jeszcze żyjące, których jęki nie dochodzą do ich uszu, zachęcają się wzajemnie do pracy ratunkowej. Ks. Zatti, wyzwoliwszy kleryka Wilhelma Brukhaüsera, którego głowa była silnie osadzona pomiędzy dwiema deskami, każe znosić siekiery, piły i dźwignie. Tęgie ciosy burzą nieuszkodzoną część wagonu pocztowego, pod którym leżą ofiary.

Smutna nowina katastrofy obiega w mgnieniu oka wioskę Mariano Procopio i Juiz de Fora. Pomimo ulewnego deszczu mnóstwo ludzi gromadzi się na miejscu nieszczęścia. Pomiędzy pierwszymi nadchodzą OO. Redemptoryści z Olejem św. i liczni lekarze, gotowi udzielać pokaleczonym troskliwej pomocy.

Najpierw odnajdują i wynoszą pewną zakonnicę, której suknie były poszarpane a cała osoba pokryta ranami i zbroczona krwią. Grono medyków otoczyło ją w blizkiej chacie murzyńskiej. Toż dzieje się z siostrą Pauliną Heitzmann, która ma twarz strasznie zgniecioną i porzniętą kawałkami szkła, a ręce aż do gołych kości poobdzierane z mięśni.

Czem się dalej postępuje tem boleśniejsze słychać jęki. Deszcz pada nieustannie, ale ściany wagonów walą się, padają podłogi i tworzy się nowy przystęp z prawej strony. Tą drogą wychodzi prawie nietknięty nasz braciszek, stolarz Dominik Germano. Przez ten otwór wynoszą też Siostrę Maryę Casilla, tak skąpaną krwią i błotem, że przedstawia się jako obrzydliwy potwór. Po uciążliwei pracy dochodzi się do Siostry Florisbella, z której drzewo i żelaza zdarły odzież. Skromna zakonnica mimo wielkich boleści i słabości sięga po fartuch obok niej leżącej Siostry Jadwigi Gomes, i okrywa nim swą osobę. Pany Lusso, służąca zakonnic, choć była tak pognieciona, że tylko jedną nogę zdrową wyniosła, błaga by czem prędzej ulżono Siostrze Julii Argenton, która przywolona deskami i żelazem daremnie usiłuje się z nich wydostać. Trzeszczą deski pod silnymi ciosami toporów, i młotów, ale nim ją wydostano, wyzionęła ducha.

Rznąc dalej deski i odwalając żelaza dochodzi się do owej ściany, którą został zgnieciony ks. biskup Lasagna. Ciało jego odniesione zostało z wielką czcią do kościoła OO. Redemptorystów. Ponieważ w chwili zderzenia wyglądał oknem, przeto na twarzy jego widać tylko małą ranę: nie ma na niej ani wykrzywienia ani wyrazu trwogi. Z czoła bije promień pokoju i miłości.

Dalej wydobyto zwłoki Matki Teresy Rinaldi. Prócz niezliczonych ran ma głowę przebitą ogromnem żelazem. Brak jej jednego trzewika, tego właśnie, który była ofiarowała żartującej siostrze, i który teraz bywa starannie przechowywany jako drogocenna pamiątka szlachetnej męczennicy pańskiej.

Wyprzątając dalej wagon napotyka się ciało Siostry Petronily Imas, które leży pod kołami z rozbitą czaszką i zdruzgotanymi członkami. Wreszcie znaleziono trupa młodego sekretarza biskupiego księdza Bernardyna Villaamll, którego widziano z głową ściśniętą między dwiemi deskami. Szamotał się długo, lecz skonał nim go wybawiono. Przy wchodzie do wagonu odkryto zwłoki Siostry i Jadwigi Gomes-Braga z strzaskaną głową.

Wszystkich ofiar było sześć: ks. biskup Lasagna, jego sekretarz i cztery Siostry Najśw. Wspomożycielki Wiernych. Między maszyną a tendrem znaleziono jeszcze siodmą ofiarę, a był nią odważny maszynista pociągu pospiesznego.

W owym dniu Kościół stracił nieustraszonego misyonarza, żarliwego biskupa, prawdziwego apostoła; Włochy jednego z najzacniejszych swych obywateli, Zgromadzenie Salezyańskie jednego z najdroższych synów, silną kolumnę misyi brazylijskich, jednego z najzaszczytniejszych brylantów swej chwały.





KRONIKA SALEZYAŃSKA

Z Oświęcimia. — Przepisujemy wiernie wiadomości, które nam przesłał jeden z najżyczliwszych naszych przyjaciół, na piśmie z dnia 9 kwietnia:

,,Post już się miał ku końcowi a zbliżały się święta wielkanocne, święta wesela ze Zmartwychstania Pańskiego, święta które są zwiastunami miłej i pożądanej pory roku. Dla księży Salezyanów miała to być podwójna uroczystość, i dlatego podczas wielkiego tygodnia zauważyliśmy w ich pracy jakąś dziwną energię i ruchliwość. Dla lepszego przygotowania się na święta odprawili rekolekcye, które po wszystkich domach ks. Bosko w tym czasie dla studentów i innych osób, do zakładów należących, się odbywają. Były to zapewne pierwsze ćwiczenia duchowne odprawione w ruinach podominikańskich po stuletniej niemal przerwie.

W dwa dni przed Wielką Nocą poczęto przyozdabiać odnowioną część ruin, tak iż wszystko bardzo ładnie wyglądało, a ołtarz z unoszącą się wysoko figurą Zbawiciela i pięknym obrazem Wspomożycielki Wiernych wszystkim się od pierwszego wejrzenia podobał i nasuwał tę radosną myśl, że wkrótce, co daj Boże! będzie się tam wznosiła wspaniała świątynia na cześć Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.

W południe wielkiej soboty prawie wszystko było gotowe, tylko oczekiwano tego który był powodem żarliwej krzątaniny i który zarazem miał uzupełnić powszechną radość. I podczas gdy słońce kryło się za lasy i ostatnimi promieniami dawało pocałunek i pożegnanie figurze Zbawiciela, wznoszącej się na zakładzie ks. Bosko, smucąc się z tego, że w jutrzejszym dniu nie miało zajaśnieć przyrodzie, — właśnie w tej chwili rozległ się okrzyk radości a odgłos kapeli salezyańskiej rozbrzmiewał potężnie na około, na przywitanie nowo-wyświęconego kapłana salezyanina, księdza Władysława Ciechorskiego. Jego Em. Książę-Biskup Kardynał Puzyna raczył znowu okazać swą miłość względem synów ks. Bosko, przypuszczając do święceń jednego z Salezyanów oświęcimskich: a ponieważ on sam czuł się osłabiony chorobą, dopełnił aktu wyświęcenia Najprzew. ks. Biskup Anatol Nowak.

Wieczorem w pierwsze święto wielkanocne urządzono na cześć nowo-wyświęconego kapłana mały wieczorek literacki. Obszerna klasa studentów zamieniła się w piękną salę, w której na przodzie stały fotele dla nowego księdza i przedniejszych gości, po bokach krzesła dla zaproszonych dobrodziejów (którzy się dość licznie stawili), a w głębi miejsca dla śpiewaków i reszty wychowanków. Deklamacya wierszy i odczyty prozą miały za przedmiot godność kapłańską oraz wesele i wdzięczność ku przełożonemu, którego spotkało to szczęście, iż jest pierwszym Polakiem Salezyaninem wyświęconym na ziemi ojczystej.

Podczas przerw przygrywała kapela składająca się z 26 wychowanków, o której Przew. ks. prałat Andrzej Knycz, przy końcu wieczornicy, po złożeniu życzeń nowemu kapłanowi, tak się z podziwem wyraził: ,,Bardzo nas ucieszyła a zarazem zadziwiła orkiestra. Bo jeżeli się zważy, że jeszcze ani trzy miesiące nie upłynęły od czasu, kiedy się ci chłopcy wzięli do gry, to rzeczywiście podziwiać trzeba ich postęp, skoro już z taką śmiałością i akuratnością występują. Wielką mi to przynosi pociechę, że tak dobrze potrafisz korzystać, kochana młodzieży, ze swych zdolności i talentów i życzę ci serdecznie, abyś się nie tylko w tej sztuce ale i we wszystkich swych naukach dobrze mogła wydoskonalić..."

W drugie święto wielkanocne nowo-wyświęcony kapłan miał odprawić w ruinach swe prymicye. Liczna rzesza ludu zasłyszawszy o tem, poczęła

się schodzić, aby w tak uroczystem nabożeństwie mieć udział. Ale już od zaranku zimna zawierucha poczęła dąć uporczywie i miotać śnieg i krople dżdżu do kościoła, który, jak wiadomo, jest pozbawiony pokrycia aż do prezbiteryum. Wtedy księża Salezyanie, nie chcąc narażać na niewygodę i zimno ludu, który mimo takiej słoty



J. K. W. książe D. Manuel
Lizbona (Portugalia).

tłumnie się począł gromadzić, oznajmili nam, że suma odbędzie się w kościele parafialnym. Tam nastała taka ciżba, iż ani się ruszyć niepodobna było: każdy zakątek był zapełniony. Przed sumą wystawiono Przenajświętszy Sakrament, a o wpół do jedenastej wyszedł ze Mszą św. ks. Ciechorski w asyście, ks. prałata Knycza, księdza dyrektora i księdza prefekta zakładu ks. Bosko. Chór salezyański odśpiewał dwugłosową mszę. Ks. Heintzel, Salezyanin, wygłosił piękne, treściwe i głębokie kazanie, omawiając godność stanu kapłańskiego i wzniosłość jego posłannictwa. Po sumie chór wykonał dwugłosowe *Te Deum* a nowy kapłan udzielił błogosławieństwa Przenajświętszym.

Nagle wszczął się wielki ruch i natłok ku ołtarzowi; wszyscy chcieli aby namazane ręce tego, który został policzon między kapłanów Boga Żywego, spoczęły na ich skroniach i pobłogosławiły im w tej pielgrzymce życia. Ks. Ciechorski, aczkolwiek zmęczony, zbliżył się do ludu i kładąc ręce na głowę każdego, spraszał nań łaski i dary Ducha świętego. Nabożeństwo zakończyło się około wpół do drugiej. Wychodziliśmy z kościoła pełni radości i uszczęśliwieni tem, iż dane nam było uczestniczyć w prymicyach, które się tutaj tak rzadko zdarzają.

Wracając do domu, rzekłem do moich przyjaciół: „Oto znowu mamy dowód dobrych chęci księży Salezyanów na ziemi polskiej. Co rok przybywa księży polaków, którzy zajmują się wychowaniem naszych dzieci i kształcą ich na porządnych ludzi, udowadniając trudami swoimi, że Salezyanie robią przecież coś dla polaków.“ Wszyscy przytakiwali moim słowom i zauważyli tylko, że źle jakoś poszło z tym kościołem a raczej ruinami księży Salezyanów, które ich tylko, gdy pogoda, przyjmują i znoszą, a w razie słoty każą im i ludowi odpowiedniejszego szukać sobie miejsca.

Życzymy z całego serca księżom Salezyanom aby roboty nad odrestaurowaniem kościoła, które, jak słyszałem, wkrótce się rozpoczną, postępowały raźnie i by ofiary na ten cel obficie nadpływały. Obyśmy mogli za niedługo oglądać wspaniałą świątynię, w którejbyśmy, mimo zimy i deszczu, mogli uczestniczyć w pięknych i okazałych nabożeństwach, na które nas od czasu do czasu księża Salezyanie zapraszają!“

Z Górnego Śląska. — Przepisujemy z *Katolika* (nr. 38): „*Lendziny.* Obchodziliśmy 19 marca po raz pierwszy uroczystość prymicyi nowowyświęconego wiel. **ks. Jana Bujara**, ze Zgromadzenia OO. Salezyanów we Figline Valdarno we Włoszech. O godzinie 10 ruszyliśmy z probostwa w procesyi do kościoła św. Anny przy śpiewaniu pieśni *Ciebie Boże chwalimy* i wysłuchaliśmy Mszy św. śpiewanej naszego rodaka, do której służył mu brat jego kleryk Józef. Ks. kapelan Kubis wygłosił do zgromadzonych wiernych wzruszające kazanie o godności kapłańskiej i wspomniał nowemu kapłanowi o ciężkich trudach, jakie wziął na siebie. Mówił: „Dziś lud Ci śpiewa Hosanna, a kto wie, czy kiedyś nie będzie wołał ukrzyżuj go! Bo ludzka wola jest zmienna — a tylko dobrzy wytrwają w wierności.“ Obecni parafianie rzewnie zapłakali. Na końcu Mszy św. udzielił ks. prymicyant krewnym komunii św. i po Mszy św. wszystkim zgromadzonym pierwszego kapłańskiego błogosławieństwa. Odprowadziliśmy go nazad

na probostwo przy śpiewie *Kto się w opiekę poda Panu swemu*. Ks. prymicyant podziękował ludowi za tak serdeczne przyjęcie, a my dziękujemy ks. kapelanowi Kubisowi za wszystkie trudy podjęte około naszego prymicyanta."

O dzielnym chórze salezyańskim w Lizbonie (Portugalia). — 13 lutego w kaplicy królewskiego pałacu przystępował uroczyście do pierwszej komunii św. książę D. Manuel, syn panującego króla portugalskiego D. Carlo i jego pobożnej małżonki Amalii. W przyozdobionej kaplicy zgromadzili się najwyżsi dostojnicy dworscy i dygnitarze kościelni. Funkcyę odprawił ks. Patryarcha, podczas gdy Nuncyusz Apostolski i ks. biskup Conde zajmowali miejsca honorowe *in cornu epistolae*. W czasie wzruszającego obrzędu nikt nie spuszczał z oczu młodego i sympatycznego królewicza, który po raz pierwszy przyjmował Króla Królów. Chór złożony z wychowanków salezyańskiego zakładu im. św. Józefa, odśpiewał z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej tak udane utwory, że cała rodzina królewska i wszyscy uczestnicy nabożnego obrzędu winszowali powodzenia zacnemu kierownikowi i nauczycielowi śpiewu, ks. Józefowi Concina. I wcale się temu nie dziwimy. Ks. Concina bowiem jest nie tylko genialnym kompozytorem i doskonałym organistą, ale posiada także tę rzadką zaletę, że pojmuje trafnie cudze utwory, odgaduje i odczuwa każdą myśl i każde uczucie autora. Nadto potrafi tak rozumnie i biegle kształcić głosy i poczucie muzyczne swych uczni (wyłącznie rzemieślników!), że jego chór wykonywa co niedziela bardzo poprawnie różne klasyczne śpiewy kościelne w kaplicy królewskiej, kiedy rodzina panująca słucha Mszy św.



Salezyańscy śpiewacy królewskiej kaplicy w Lizbonie.

Poświęcenie świątyni na cześć Najśw. Wspomożycielki Wiernych w Puebla de los Angelos (Rzplta Meksyk). — Ten nowy kościół czyni bardzo miłe wrażenie. Z dobrym gustem dobrana ornamentyka w stylu renesansowym wynosi wartość artystyczną kościoła wysoko po nad znaczenie innych gmachów miejskich. Dach czyli raczej strop jest, na wzór sufitów w rzymskich bazylikach, całkiem płaski i ozdobiony licznemi wypukłemi rzeźbami i obrazem Matki Boskiej Wniebowziętej. 25 grudnia z. r. poświęcono nową świątynię. O godzinie 10 odprawiła się w niej po raz pierwszy uroczysta Msza św. Trzygłosowy chór salezyański wywiązał się ze swego zadania nader pochlebnie. Ks. kanonik Joachim Vargas, słynny w tamtejszych okolicach kaznodzieja, mówił przeszło godzinę o tryumfach i chwale Wspomożycielki Wiernych, wyciskając łzy wszystkim niemal słuchaczom. Pamiętny dzień zakończył się przedstawieniem teatralnem, na które zaproszono licznych Pomocników i Pomocnice, a w którym miał udział także Wikaryusz kapitularny ks. dr. Wiktor Covarrubias.

Hołd Papieżowi od Zgromadzenia Salezyańskiego. — W tych właśnie dniach Ojciec św. Leon XIII odbiera od całego świata cześć i hołdy z powodu swego jubileuszu papieskiego. Salezyanie wyrośli przy sercu ks.. Bosko, który Papieżowi poświęcił każde poruszenie swej duszy, nie mogli zaprzeć się uczuć swego Ojca, nie mogli puścić w niepamięć myśli i słów swego Zakonodawcy. Skojarzyli się więc z całym światem i na dowód swej miłości, poddaństwa, życzyń i modlitw wzniesionych do Boga za jego długoletność, postanowili wyprawić do Ojca św. deputacyę ze szczególniejszym hołdem. W tym celu, z inicyatywy naczelnego redaktora biuletynów salezyańskich ks. Jana Minguzzi'ego, rozesłano po wszystkich naszych domach karty spisowe, na których wszyscy Salezyanie i Siostry Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, jak również wszyscy wychowankowie i wychowannice napiszą swe imię i nazwisko. Karty te utworzą ozdobne album; ofiary zaś każdego z podpisanych stanowić będą świętopietrze Zgromadzenia Salezyańskiego. Licząc

na wielką liczbę uczni salezyańskich i na liczniejsze jeszcze zakłady Sióstr Wspomożycielki Wiernych, spodziewać się można, że ten hołd wypadnie wspaniale i godnym się stanie Osobistości, której się składa. — Wspomniane album z odpowiednią ofiarą zostanie Ojcu św. przedłożone prawdopodobnie we wrześniu.



Ogłaszamy niżej śliczny

LIST PASTERSKI

Jego Em. Jana Kardynała Puzyny

Księcia-Biskupa Krakowskiego,

gdyż w nim omawia obszernie, Jubileusz Jego Świętobliwości Papieża **Leona XIII.**

(Ciąg dalszy).

Leon XIII zrozumiał to posłannictwo, jako mąż dziwnie pojednawczy, wyszedł on z gałązką oliwną naprzeciw wrogom i w imię dobra obopólnego podał im rękę do zgody. Ręki tej nie odtrąciły rządy, walką niechlubną zmęczone, owszem same wezwały Kościół na ratunek, zwłaszcza, gdy społeczenstwo w swoich posadach chwiać się zaczęło, a liczne morderstwa publiczne i zamachy na ukoronowane głowy świat cały przejmowały zgrozą.

Jakoż z wszystkiemi prawie państwami nawiązały się stosunki, zakończone układami pokojowymi, a wynikiem tych układów było naprzód umożliwienie i jakie takie zabezpieczenie, a w dalszym ciągu odrodzenie i spotęgowanie ducha i życia katolickiego na obu świata półkulach.

Z rządem włoskim zgoda okazała się niemożebną, bo ten rząd nie tylko wydarł papieżowi niepodległość, zagarniając dziedzictwo św. Piotra, ale dopuszcza się coraz nowych gwałtów i nadużyć. Żali się na to raz po raz Leon XIII, zatwierdzając przytem energicznie potrzebę władzy doczesnej, a wszyscy ludzie, trzeźwo patrzący, przyznają, że zabór Ojcowizny Piotrowej uczynił położenie Papieża przykrem i nieznośnem; bo wytworzył stosunki, uwłaczające w wysokim stopniu godności Namiestnika Bożego na ziemi i tamujące swobodę działania Stolicy św.

Nie tu jednak koniec misyi Anioła pokoju. Jako Namiestnik Tego, który powiedział: ,,Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody (św. Mateusz XXVIII, 19.), Leon XIII pragnie rozszerzyć owczarnię Chrystusową, zanieść Ewangielię pokoju w najdalsze krańce świata i światłem tem zaświecić tym, którzy w ciemności i cieniu śmierci siedzą. On to błogosławi zastępom misyonarzy, puszczających się w głębie Azyi, Afryki i Australii, zakłada coraz nowe stolice biskupie i wikaryaty apostolskie, powołuje cały szereg nowych zgromadzeń do pracy misyjnej, znajduje w swojem ubóstwie monarsze iście środki na ich poparcie, słowem spiżowemi głoskami zapisuje swe imię w dziejach rozszerzenia się wiary.

Ma i tę wielką Papież pociechę, że z dniem każdym przybywa dziatek Kościołowi, ale wszystko to jakby nie wystarczało sercu Apostoła ludzkości, który pragnie świat cały sprowadzić do przystani prawdy i jedności wiary i przyspieszyć tę chwilę, kiedy nastanie jedna owczarnia. W Encyklice zwróconej do wszystkich książąt i ludów ziemi (z 20 czerwca 1894), i w encyklicy o jedności Kościoła (29 czerwca 1896) wyciąga Leon XIII ojcowskie swe dłonie do tych, co w odszczepieństwie i herezyi zanurzeni, jak mniej do tych, co w starem i przesądnem żyją pogaństwie, bo wszystkie ludy ziemi należą do Chrystusa, który za odkupienie całej ludzkości przelał krew swoją.

Przywrócić Kościołowi spokój i rozszerzyć jego granice, to dopiero połowa tego zadania, jakie spełnia Leon XIII, jako Anioł pokoju; trzeba nadto wyłożyć naukę katolicką i utwierdzać wiarę w duszach, trzeba wytłómaczyć ludziom, do czego ich ta wiara obowiązuje, względem Boga i Kościoła, względem bliźniego i społeczeństwa, jakie są ich prawa i powinności, trzeba wrócić sumieniom pokój, a społeczeństwu równowagę, którą utraciło.

To także zadanie papiestwa — zadanie, wynikające z urzędu pasterskiego i nauczycielskiego. Leon XIII nie cofnął się przed tą pracą, ale w ciągu 24 lat występował niejednokrotnie, jako najwyższy nauczyciel Tak powstały owe wspaniałe encykliki, w których rozwija niezrównaną mądrość nauki chrześcijańskiej, zwłaszcza o boskiem posłannictwie Kościoła, o Sakramentalnym charakterze małżeństwa, o chrześcijańskim ustroju państw, o zakresie wolności ludzkiej i o sprawie społecznej.

Niepodobna nam, Najmilsi, zastanawiać się dłużej nad temi apostolskiemi orędziami, które pozostaną na zawsze najwyższą chwałą papiestwa Leona XIII, jako dowód, że żadne niebezpieczeństwo współczesne, żadna potrzeba chrześcijańskiego życia nie były tajne papieżowi, lecz, że owszem we wszystkich sprawach poruszających świat i dobra całej ludzkości dotyczących, podniósł on głos swój natchniony w nauce — napomnieniu lub przestrodze.

Nie możemy tu jednak pominąć milczeniem stanowiska, jakie wielki obrórca społecznego ładu, ,,papież robotników,'' zajął w kwestyi socyalnej. W znakomitej ze wszech miar encyklice ,,*Rerum Novarum*,'' stawia on kwestyę socyalną na gruncie chrześcijańskim, wykazując, że podniesienie bytu materyalnego robotników, które wszystkim ludziom dobrej woli powinno gorąco leżeć na sercu, wtedy dopiero da się przeprowadzić, jeżeli ludzkość cała wróci do zasad, które głosi Kościół Chrystusowy. Kościół bowiem nie tylko uszlachetnia rzemiosło i pracę, nie tylko uczy znosić ze spokojem i w duchu pokuty przykrości i trudy, ale nadto

przestrzega ściśle zasad sprawiedliwości wobec wszystkich klas społeczeństwa, żadnej z nich nie pozwala wyzyskiwać na korzyść drugiej, w każdym szanuje jego godność osobistą; uwzględnia dobro duszy, potrzeby religijne robotników, ale uwzględnia także ich prawo do zdrowia i życia, a nadewszystko trzyma wysoko sztandar miłości chrześcijańskiej, która będąc cnót wszystkich królową, zawsze jest gotową do poświęceń.

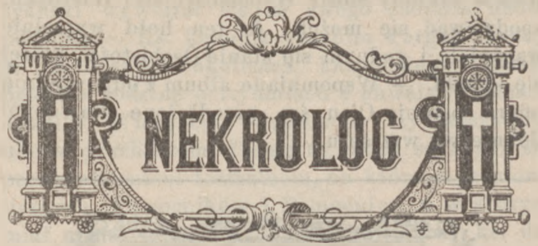
Co więcej Kościół od samego początku swego istnienia zajmował się troskliwie losem warstw ubogich, które też po wszystkie czasie najwięcej do niego lgnęły. On też jeden najlepiej potrafi rozróżnić to, co w żądaniach warstw pracujących jest wpływem sztucznej i niesumiennej agitacyi ludzi przewrotu, od tego, co jest głosem nędzy i protestem przeciw wyzyskowi brutalnej przemocy kapitału lub niezdrowym stosunkom prawodawczym. Nie chce też Kościół w rozwoju społecznym odmawiać warstwom ludowym prawa do zdobywania sobie coraz większych przywilejów i korzyści, chodzi mu tylko o to, aby w ich sercach zagasić nieubłaganą nienawiść i żądzę, aby rozumy odwieść od zasad potwornych, niszczących prawa moralne i warunki społecznego bytu.

Aby rozwiązanie kwestyi społecznej umożliwić i przyspieszyć, Ojciec św. w encyklice „o demokracyi chrześcijańskiej“ (z dnia 13 stycznia 1901), nawołuje wszystkie warstwy do pracy społecznej, do dobroczynnej akcyi chrześcijańskiej dla ludu. Akcya ta nie wyłącza nikogo, ale właśnie dlatego wszyscy są do niej obowiązani i nikomu od niej usuwać się nie wolno. Przedewszystkiem zaś ci, „którym stan, majątek, wykształcenie ducha i serca użyczają wśród społeczności świeckiej pewnej powagi i znaczenia,“ powinni pamiętać, że „nie jest to dla nich rzeczą dowolną o los warstw najniższych troszczyć się, lub nie, ale, że oni są do tego wprost obowiązani. Nikt bowiem nie żyje w państwie dla własnej wyłącznie korzyści, ale także dla ogółu.“

Leon XIII jest nadto prawdziwą „światłością z nieba“.

Od czasów Marcina Lutra rozum ludzki, wyzwoliwszy się z pod powagi rozumu Bożego, stawał w coraz widoczniejszej rozterce z Bogiem, z Kościołem i z prawdami objawionemi, aż zaczął powszechnie i otwarcie nauczać, że istnieje rozdźwięk i rozbrat między wiarą, a myśleniem i badaniem, że między Kościołem katolickim a wiedzą i jej postępem, zgoda jest niemożliwą. Niewdzięczny świat zapomniał, że ten sam Kościół przez długie wieki dzierżył prawie wyłącznie ster oświaty i wydał tylu wielkich myślicieli i uczonych, zapomniał, że oba światła wiary i rozumu są jakby promieniami, wychodzącymi z jednego ogniska i do tegoż ogniska wiodącymi.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Boberowa Aniela — *Grybów*, Galicya.
Pawlik Alexander — *Tworków*, Górny Śląsk.
Piela Antoni — *Benkowice*, Górny Śląsk.
Ploch Mateusz — *Rośmierz*, Górny Śląsk.
Polaczek Alexander — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
Putwiński Antoni — *Paryż*, Francya.
Rachwalska Aniela — *Rozwadów*, Galicya.
Rogozińska Maryanna — *Wulka*, Prusy Zachodnie.
Roszyk Józefa — *Boguszyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Rutecki Jan — *Wesołowo*, Prusy Zachodnie.
Rutecki Stanisław — *Piecki*, Prusy Zachodnie.
Senkała Franciszek — *Mysłowice*, Górny Śląsk.
Skowrońska Katarzyna — *Grodziczno*, Prusy Zachodnie.
Śmieszek Józef — *Oświęcim*, Galicya.
Śmigielska Helena — *Montowo*, Prusy Zachodnie.
Sokolski Stanisław — *Paryż*, Francya.
Spiczak Andrzej — *Glisno*, Prusy Zachodnie.
Spiralski Walenty — *Poznań*.
Spyra Joanna — *Chorzów*, Górny Śląsk.
Sularz Zofia — *Bystra*, Galicya.
Szałkiewicz Mikołaj — *Murowana Goślina*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szopa Konstanty — *Kobierzyn*, Galicya.
Szypuła Beata — *Tworków*, Górny Śląsk.
Tabiński Alexander — *Jasienica*, Galicya.
Tykiel Jan — *Raszów*, Górny Śląsk.
Wieczorek Józefa — *Rośmierz*, Górny Śląsk.
Wittoń Robert — *Rośmierz*, Górny Śląsk.
Wolnik Józefa — *Tworków*, Górny Śląsk.
Woźniak Józef — *Grabówki*, Galicya.
Woźniak Józef — *Siercza*, Galicya.
Wybieralska Małgorzata — *Boguszyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Wybieralska Maryanna — *Boguszyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Zielińska Anastazya — *Linów*, Prusy Zachodnie.
Żydzik Ewa — *Zawodzie*, Górny Śląsk.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

lucrandis injuncta sunt pietatis opera rite in Domino praestiterint, Auctoritate Nostra Apostolica concedimus. In contrarium facientibus non obstantibus quibuscumque. Praesentibus perpetuis futuris temporibus valituris. Volumus autem, ut praesentium litterarum transumptis seu exemplis etiam impressis, manu alicujus Notarii publici subscriptis, et sigillo Personae in Ecclesiastica dignitate constitutae munitis eadem prorsus adhibeatur fides, quae adhiberetur ipsis praesentibus si forent exhibitae vel ostensae.

Datum Romae apud S. Petrum sub Annulo Piscatoris die IX Maji MDCCCLXXVI. Pontificatus Nostri anno Trigesimo.

Loco sigilli.

Pro E. Card. **ASQUINIO.**
D. Jacobini, Substitutus.

TŁÓMACZENIE BREWE PAPIESKIEGO.

PIUS PAPIEŻ IX.

Ku wiecznej rzeczy pamięci.

Ponieważ, jak nam doniesiono, zawiązało się wedle praw kościelnych pobożne Stowarzyszenie wiernych pod nazwą Towarzystwa albo *Związku Pomocników salezyańskich*, którego członkowie prócz wielu i rozlicznych uczynków miłosiernych i pobożnych za szczególniejszy cel sobie obrali opieką otaczać młodzież ubogą i opuszczoną: pragnąc, ażeby Stowarzyszenie to coraz więcej wzrastało, ufni w miłosierdzie Boga Wszechmogącego i we władzę śś. Apostołów Piotra i Pawła, udzielamy wszystkim wiernym płci obojga, którzy się do tegoż Stowarzyszenia zapisali albo na przyszłość zapiszą, w godzinę ich śmierci *odpustu zupełnego*, jeżeli się ze skruchą wyspowiadają i do Stołu Pańskiego przystąpią; w razie zaś gdyby tego wykonać nie mogli, jeżeli ze skruchą doskonałą Najsłodszego Imienia Jezus ustami, a w razie niemożności przynajmniej sercem pobożnie wzywać będą i jeżeli śmierć z ręki Pana jako karę za grzech cierpliwie przyjmą.

Tymże członkom udzielamy również w miłosierdziu Bożem *odpustu zupełnego* i odpuszczenia wszystkich grzechów raz na miesiąc w dniu dowolnym, jeżeli szczerze za grzechy żałując ich się wyspowiadają i do Najświętszego Sakramentu Ołtarza w jakimkolwiek kościele albo w kaplicy publicznej przystąpią i jeżeli następnie tenże sam kościół albo kaplicę pobożnie nawiedzą i korne modły za zgodę panów chrześcijańskich, za wykorzenienie kacerstw, za nawrócenie grzeszników i za podwyższenie św. Matki Kościoła do Boga zaniosą. Odpust ten zupełny mogą ofiarować za dusze wiernych zmarłych, którzy w jedności z Bogiem pozostając z tego świata zeszli. Chcąc następnie zwyż wymienionym stowarzyszonym dać dowód szczególnej naszej łaskawości, nadajemy im wszystkie odpusty tak zupełne jako i cząstkowe, których Tercyarze zakonu św. Franciszka z Asyżu dostąpić mogą, a z władzy naszej Apostolskiej zezwalamy, ażeby we święta św. Franciszka Salezego i w kościołach księży *Zgromadzenia salezyańskiego* należycie i swobodnie uzyskać mogli wszystkich tych odpustów, jakich Tercyarze dostąpić mogą we święta i w kościołach św. Franciszka z Asyżu, jeżeli ściśle dopełnią w Panu wszystkich pobożnych uczynków, które do pozyskania onych odpustów są przepisane. Wszystko, coby się temu sprzeciwiało, nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Niniejsze pismo ma mieć swą wagę na wieczne czasy. Chcemy również, aby kopiom niniejszego pisma, bądź pisanym, bądź też drukowanym, a w podpis własnoręczny jakiego notaryusza publicznego i pieczęć osoby, godność kościelną piastującej, zaopatrzonym, taką samą dawano wiarę, jakąby dano niniejszemu pismu, gdyby było przedłożone lub okazane.

Dan w Rzymie u św. Piotra, pod pieczęcią Rybaka, dnia 9 maja 1876, Papiestwa Naszego roku trzydziestego.

Miejsce pieczęci.

Za kardynała ASQUINI
Dominik Jacobini, zastępca.



ZWIĄZEK MSZALNY OŚWIĘCIMSKI

czyli

OFIARA 1 KORONY AUSTR.

na

KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ, WSPOMOŻENIA WIERNYCH

i na

ZAKŁAD X. BOSKO

w

OŚWIĘCIMIU,

odwzajemniona uczestnictwem w korzyści duchowej z **12 Mszy św.,** które w nowowybudowanym kościele za ofiarodawców **corocznie** i **po wieczne czasy** odprawiać się będą.

Wyszczególnienie.

1. — Prawa wpisania się do niniejszego ZWIĄZKU MSZALNEGO nabywa każdy wierny, składający na *zakład* i *kościół salezyański* w Oświęcimiu ofiarę nie mniejszą od **1** *korony* austr. (**1** *marki*, lub **50** *kopiejek*).

2. — Wpisani uczestniczyć będą, tak za życia, jak i po śmierci, jeżeliby tego zaszła potrzeba, w **12** Mszach św., które XX. Salezyanie zobowiązują się odprawiać *corocznie* i *po wieczne czasy* w mającym powstać ze składek i ofiar kościele i przed ołtarzem Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych. Jedna z tych Mszy św. odprawianą będzie w samą uroczystość Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, czyli 24go maja.

3. — Kto więc złoży jednorazową ofiarę w ilości **1** *korony* austr. (1 *marki*, lub 50 *kopiejek*), będzie miał prawo do udziału w intencyi onych **12** Mszy św. tak na własną korzyść, jako też na korzyść drogich jego sercu osób żywych i umarłych, tudzież do zamiany intencyi w jakiejkolwiek okoliczności wedle szczególnych swoich potrzeb i życzeń.

4. — Składając takąż samą ofiarę może każdy w taki sam sposób zapisać dzieci, osoby nieobecne, zmarłych, jednem słowem kogokolwiek, *nawet bez jego wiedzy*.

5. — Chcąc zaś uczestniczyć jeszcze obficiej, albo umożebnić drugim uczestniczenie obfitsze w korzyści duchowej niniejszego ZWIĄZKU MSZALNEGO, może każdy, ponawiając wspomnianą ofiarę **1** *korony* austr. (1 *marki*, 50 *kopiejek*), równocześnie pomnażać, ile mu się podoba, wpisy, tak za siebie, jako i za drugich, bądź żywych, bądź umarłych, lub też złożyć *jednorazową* większą ofiarę.

6. — Imiona i nazwiska wpisanych umieszczą się w osobnych ku temu książkach i będą się przechowywać na wieczną pamiątkę w kościele Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, w Oświęcimiu.

7. — Związek niniejszy ma swą główną siedzibę w Oświęcimiu (Galicya).

Ofiary i wszelkie korespondencye najlepiej przesyłać pod adresem:

AUSTRYA

OESTERREICH.

Wielebny X. Dyrektor Zakładu X. Bosko

OŚWIĘCIM

Galicya.

L. 4675.

Pozwalamy drukować

✠ JAN,
książę Biskup.

Kraków, 13 paźdz. 1998.